

# BRUCE LEE prawda i legenda

str. 10



Rys. Józef Tartowski

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

# kamera



NR 16 (783)

31 lipca - 13 sierpnia 1983

CENA 10 ZŁ

## Czy stać nas na kryzysy?

**ROZMOWA Z PROF. WIESŁAWEM SKRZYDŁO  
CZŁONKIEM KOMISJI KC PZPR  
DLA WYJASNIENIA PRZYCZYN I PRZEBIEGU  
KRYZYSÓW SPOŁECZNYCH  
W DZIEJACH POLSKI LUDOWEJ**

**D**OKUMENT liczy 163 strony maszynopisu. W nagłówku pieczęć wskazująca iż został rozesłany na polecenie członka Biura Politycznego KC PZPR, Hieronima Kubiaka. Są też inne pieczęcie określające wagę tego dokumentu. U góry w lewym rogu numer kolejny egzemplarza, należącego do mego rozmówcy. Tak wygląda raport komisji Kubiaka. Niestety nie będę mógł do niego zaglądać. Mogę natomiast pytać; na udzielenie wywiadu prof. Skrzydło uzyskał zgodę od sekretarza komisji.

— Dlaczego dokument jest tajny?

— Raport komisji Kubiaka nie jest dokumentem tajnym. Wersja która przed nami leży, została przygotowana na majowe XII Plenum Komitetu Centralnego, podczas którego była referowana przez Hieronima Kubiaka i poddana pod dyskusję. Miała zatem charakter roboczy i dopiero po przyjęciu przez plenum nabrała wagi dokumentu. Dlatego

te wszystkie pieczęćki na okładce... Zgodnie z wiedzą dokument będzie publikowany w sierpniowych „Nowych Drogach”.

— Z komisją Kubiaka przez wiele miesięcy wiążano słowo: szansa. Czy Profesor podziela tę asocjację?

— Należy nie inaczej nie przyjąłbym zaproszenia do tej komisji.

— Jest zatem szansa na...

— ...to, że po raz pierwszy zostaną opublikowane materiały ciała kolegialnego, powołanego przez najwyższe władze partyjne do zbadania przyczyn, okoliczności i przebiegu kryzysów oraz konfliktów społecznych, tak boleśnie nas doświadczających w dziejach powojennych. Optymizm mój bierze się stąd że po raz pierwszy za tą szansą stoi uchwała zjazdu IX Nadzwyczajnego Zjazdu PZPR z 20 lipca 1981 roku.

— Oprócz szansy, wielu członków partii i w ogóle rodaków w pracach komisji dostrzegało także nadzieję, że jej prace w istotny sposób przyczynią się do zapobie-



Fot. Cezary Krupa

nia powstawaniu kryzysów i konfliktów społecznych w przyszłości. Czy Profesor te nadzieje podziela?

— Trudno byłoby nie podzielać! Wnioski, jakie płyną z raportu, winny znaleźć praktyczne ucieleśnienie w zabezpieczeniach prawnych, w swoim systemie wczesnego ostrzegania. Jeżeli zakryjemy tablicę sygnalizacyjną w samocho-

Ciąg dalszy na str. 3-4

## MŁODZI LUBLINIANIE Z POWSTANIA WARSZAWSKIEGO

Damian Tomczyk

Tragiczny ślad ludzi, o których mowa w tym artykule, urywa się w obozach jenieckich na terenie hitlerowskiej Rzeszy. Osoby, które ewentualnie posiadają informacje o dalszych losach tej bohaterkiej młodzieży, prosimy o skontaktowanie się z redakcją.

**Z**UPEŁNIE nieznaną kartę historii Powstania Warszawskiego stanowi udział w nim nieletnich żołnierzy Armii Krajowej urodzonych w przedwojennym województwie lubelskim. W przechowywanym w Dziale Dokumentacji Muzeum Martyrologii i Walki Jęńców

Wojennych w Lambinowicach zespole akt „Wehrmachtsaufkunftsstelle für Kriegerverluste und Kriegsgefangene”, zawierającym listy transportowe jeńców-żołnierzy AK z Powstania Warszawskiego ze Stalagu 344 Lamsdorf (obecnie Lambinowice) w rejencji opolskiej, odnalazłem nazwiska ośmiu nie-

pełnoletnich powstańców rodem z ówczesnego województwa lubelskiego. Byli to szczególnie: weterani walczącej Warszawy Najmłodszy z nich, strz. Edward Feliński — „Edward”, miał wówczas lat 12.

Rozpoczęte na rozkaz dowództwa AK Powstanie Warszawskie (1 VIII—2 X 1944 r.) swoje stosunkowo długie trwanie zawdzięczało przede wszystkim powszechnej i bohaterkiej walce ludności stolicy Polski. W tych dramatycznych walkach udział wzięła również młodzież i dzieci, które w większości znajdowały się w kręgu oddzia-

ływania podziemnego harcerstwa, tj. Szarych Szeregów. Nieletni powstańcy w walkach na barykadach stolicyłożyli dowody najwyższego poświęcenia dla sprawy wolności ojczyzny, pełniąc służbę żołnierską na pierwszej linii lub na zapleczu w charakterze łączników i zwiadowców. Szybko wykazali, że potrafią walczyć nie gorzej od dorosłych — celnie strzelać, atakować granatami i butelkami zapalającymi czolgówroga.

20 IX 1944 r. z sił AK w stolicy utworzono Warszawski Korpus AK pod dowództwem gen. bryg Antoniego Chruściela — „Montera”. Młodociani lublinianie służyli w składzie 21 Pułku Piechoty AK „Dzieci Warszawy” kpt. Mariana Kamińskiego — „Jura” (8 Dywizja Piechoty AK im. Romualda Traugutta) oraz 15 Pułku Piechoty AK, dowodzonego przez ppłk. Franciszka Rataja — „Pawła” (28 Dywizja Piechoty AK im. Stefana Okrzei). W szeregach 21 pp AK walczyło czterech nie-

Dokończenie na str. 9

## ODA DO NASZEJ MŁODOŚCI

na tęczowej bramie napis — szary cień jak popiół skruchy  
 niewidoczny — rozmazany — wyniszczony zawieruchą  
 wiatrów złudnej koniunktury — słów wyplutych wraz  
 z zębami  
 gdy fałszywym tonem zabrzmia — w chórze innych słów  
 wyblakłych

gdy nie zgodzą się z tonacją — i wyfrunąć zechcą dalej  
 pod prąd płynąc grzbietem fali

czasem wiatry nurt zawrócą i wymiotą zgniłe próchno  
 z dna koryta — stare pniaki wykarczują młodzi drwale  
 w najjaśniejszy z dni słonecznych ruszy regulacja rzeki  
 zwana wiecznym przemijaniem  
 bieć pod górę zacznie rzeka nowy już kierunek znacząc  
 w drogowskazach zapisany

„ulec-czekać-czy uciekać?” spyta kret witając światło  
 coraz głośniejszą pamięć  
 patrzcie oto ta maksuma szara na tęczowej bramie!  
 napis cichy kurz porasta  
 kto przeczyta? „praca! praca!”  
 tylko tyle? tak — nie więcej  
 czy to mało? bardzo wiele!  
 razem — młodzi przyjaciele!

## Do Polski wraca nadzieja

W przeddzień Święta Odrodzenia obradował Sejm Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Przewodniczący Rady Państwa, prof. Henryk Jabłoński, ogłosił z trybuny sejmowej decyzję o zniesieniu stanu wojennego z dniem 22 lipca 1983 r. Sejm uchwalił dwie ważne ustawy. Pierwsza — o szczególnej regulacji prawnej w okresie przewycięzania kryzysu społeczno-ekonomicznego oraz o zmianie niektórych ustaw — będzie służyć tworzeniu wszelkich warunków niezbędnych do pełnej normalizacji życia społecznego i skutecznego przewycięzania kryzysu ekonomicznego. Druga — ustawa o amnestii — tworzy pełne możliwości włączenia się w nurt pracy i życia publicznego tych wszystkich, którzy popełnili w przeszłości przestępstwa polityczne.

Z dużą uwagą posłowie wysłuchali przemówienia gen. armii Wojciecha Jaruzelskiego. Prezes Rady Ministrów oświadczył m.in.:

Decyzja o wprowadzeniu stanu wojennego była aktem obronnym, była koniecznością. Decyzja o jego zniesieniu jest świadomym, dobrowolnym wyborem.

Polska nie zginie. Dziś jednak już nie na tym polega problem. Chodzi o to, jaki ten kraj będzie. Ile będzie ważył jego głos, jego potencjał, jego historyczne doświadczenie. Ani wprowadzenie stanu wojennego nie było uniwersalnym lekarstwem na wszystkie nasze bolączki, ani jego zniesienie cudu od jutra nie sprawi.

Są na naszej ziemi jak gdyby dwie Polski. Jest Polska dobrych, ofiarnych ludzi, związana z wartościami socjalizmu, spracowana i uczciwa, tworząca wartości materialne, kulturalne, moralne. I ona przeważa. Do niej powinna należeć przyszłość. Ale jest i nurt ciemny, wsteczny, wlokący się za nami jak złowrogi cień. To niepoprawny demagog z wytartym czołem. To tuczący się cudzym kosztem nierób, spekulant, łapówkarz. To podziemny kanał nieczystych interesów, pogardy dla prawa, kamienia wyrwanego z bruku. To także pyszałek na urządzie, intrygant, bezduszny biurokrata. Z tym nurtem nie pogodzimy się nigdy!

Anarchia do Polski nie wróci! Próby podejmowania działalności antypaństwowej będą poskramiane nie mniej stanowczo niż podczas stanu wojennego. Organizatorzy kontrewolucji nie powinni mieć żadnych złudzeń. Zniesienie stanu wojennego nie może również oznaczać osłabienia walki z wszelkim moralnym złem, z naruszeniem prawa, z przestępczością kryminalną.

Zasadność robotniczego protestu została przez partię uznana przed IX Zjazdem i po IX Zjeździe, przed stanem wojennym i podczas jego trwania. Ale to nie władze podważyły konstytucyjne podstawy ówczesnych porozumień. To nie rząd zniweczył materialne warunki ich realizacji.

Nasze intencje są szczerze. Świadczy o nich urzeczywistnienie socjalistycznej odnowy. Potwierdza demokra-

tyzacja życia społecznego, umocnienie pozycji klasy robotniczej, odradzanie ruchu związkowego, rozwój klasowych, niezależnych i samorządnych związków zawodowych, utrwalanie się praktyki doradztwa i konsultacji, głęboka reforma gospodarki. Jest to linia trwała.

Obrażanie się na społeczeństwo i obrażanie się na władzę — to dwie strony tego samego medalu. [...] Administracja jest po to, aby narodowi służyć — nie na klęczkach, lecz i nie z wyżyn nieomyślności.

Najgorsze mamy już poza sobą. Ale utrwalenie osiągniętego stanu, uzyskanie dalszego postępu wymagać będzie jeszcze niemałych wysiłków. Przed nami nadal okres złożony.

Czego oczekujemy od reformy? Przede wszystkim przyspieszenia zmian w strukturze produkcji. Nie możemy już akceptować każdego jej wzrostu, niezależnie od tego, za jaką cenę powstaje, jakie potrzeby zaspokaja, jaka jest jej jakość. Oczekujemy także systematycznego obniżania kosztów produkcji. Pełniejszego wykorzystania majątku produkcyjnego. Lepszego gospodarowania zasobami pracy. Doprowadzenia wreszcie do tego, aby staranna, wydatna praca była należycie i sprawiedliwie wynagradzana, a lenistwo i brakorobstwo — nie poplacały.

My [...] Idee mamy. Niepodległe, socjalistyczne państwo w bezpiecznych granicach, na wolnym od zbrojnych konfliktów kontynencie europejskim — oto istota tej idei. To sedno polskiej racji stanu.

Fundamentem polityki zagranicznej Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej był, jest i pozostanie ścisły, nienaruszalny, obopólnie korzystny sojusz ze Związkiem Radzieckim, z krajami socjalistycznej wspólnoty. Jest on w tej samej mierze wyrazem naszej suwerenności, co i jej gwarantem.

Na mocy jakiego prawa prowadzona jest przeciwko państwu polskiemu agresja propagandowa? Jak ocenić porównanie Polski do obozu kon-

## DIALOG CODZIENNY

I

zejdźmyż z drogi bo pierze jeno z nas zostanie  
 twarze walec opony sprasuje z asfaltem  
 dwie bezimienne plamy przybędą w rejestrach  
 istot uniwersalnych które wiatr anonim  
 zapisuje w kominach najbrudniejszych fabryk  
 a czym człowiek bez twarzy? niemym plastrzem błota  
 pustą ramą w złoceniach — śmietnikiem bez dna

II

głowa do góry panie bracie  
 bo jeśli racja jest po naszej stronie  
 to cieniem prawdy racja jest  
 i każdy brat nam rację przyzna  
 myślą — uczynkiem — jasnym słowem  
 więc — środkiem drogi trzeba iść  
 jak sztandar w dłoniach dzierząc głowę

## SŁOWO CZYNEM

słowo czynem się stanie gdy na ziemię upadnie  
 gdy przemiesza się z piachem przejdzie ziemi zapachem  
 gdy zachłyśnie się potem i uzbroi w pokorę  
 gdy się milczeć nauczy już na pomnik nie wróci  
 zakorzeni się trawą zakurzoną zdeptaną  
 ale żywą upartą w radość słońca bogatą  
 w zieleni snów

## KRONIKA

● Rolnictwo: żniwa w pełni, zbiera się też len, podrywa liście tytoniu (nieomal wszystkie plantacje regionu dotknięte chorobą wirusową), szykuje się kilka (1) pokosów siana. Ogólnie rzecz biorąc, obserwuje się na wsi wzrost produkcji roślinnej i poważny spadek produkcji zwierząt. W lasach: mało czarnej jagody, ale po ostatnich deszczach pojawią się, być może, grzyby.

● Przy końcu grudnia 1982 r. pod Wojdą na Zamojszczyźnie rozpoczęła się pierwsza w kraju otwarta bitwa partyzantów polskich (wspomaganych przez oddział radziecki) z hitlerowcami, w której uczestniczyła 1 Kadrowa Kompania Batalionów Chłopskich Jerzego Millera „Visa”. W kolejną rocznicę pierwszych walk BCH miejscowość, liczącą zaledwie trzy gospodarstwa, odznaczono Orderem Krzyża Grunwaldu III klasy.

● W Krańskim Ośrodku Kultury, staraniem przyjaźnił zmarłego przed 10 laty artysty, otwarto wystawę ok. 40 akwarel i rysunków Stanisława Surdackiego. Warta uwagi! Myśli się o przemianowaniu ul. Mostowej w Krańniku na „Surdackiego”, co popieramy z całego serca. Dobry był to malarz, niebanalny był to człowiek.

● PKZ przygotowują się do remontu b. kina „Staromiejskie” w Lublinie, które po zakończeniu prac powróci do dawnej roli teatru rewiewego. Premiera będzie chyba miała posmak dramatyczny, jako że na obiekcie chrapkę mają dwie instytucje: „Estrada” (formalny użytkownik) i dyrekcja Teatru im. Osterwy.

● Dajcie, ludzie, nieco grosza na budowę magazynu biblioteki UMCS, która dosłownie pęka w szwach pod naporem rosnącego księgozbioru (1,2 mln woluminów). Oto konto: Towarzystwo Przyjaźni UMCS NBP II O/Lublin nr 43023-3795-132. Autor tej rubryki już wpłacił co nieco, licząc przy okazji na poprawę pracy magazynu czasopism UMCS, który dziła — mówiąc słowami jednego z pracowników — jako to państwo w państwie, państwo jakby ospale. Pytanie okolicznościowe: czy biblioteka UMCS faktycznie nie posiada egzemplarzy „Tu i Teraz” z 1982 roku?

● Muzea: Narodowe w Warszawie i Okręgowe w Lublinie zapraszają na wystawę „Człowiek w sztuce starożytnej” czynną w salach Zamku. Odkąd lubelskie BWA stało się krajową przechowalnią weteranów i epigonów „antyszuki”, coraz częściej wypada nam polecać wystawy muzealne z reguły prezentujące coś wartego uwagi. Ponadto: znakomita ekspozycja reprintsów afiszów teatralnych z lat 1785-1939 urządzili w lipcu klub „Masza” — szkoda, że trwała tak krótko.

● Lubelscy nudyści domagają się własnej plaży, a pan J. Pawłowski, dyr. WOSIR, tak im sprzyja, że proponuje dyskretnie, by umieścić golasów na terenach w pobliżu mostu na Bystrzycy, po uprzednim wystudowaniu biwakujących tam od dawna wędkarzy. Nasza propozycja: plażę nudyistów urządzić na pl. Litewskiej, wokół fontanny.

● Otwarto zajęcia na kolejnym kursie dla nauczycieli polonijnych, wykładowych język polski. Przybyli na Polacy z Francji, NRD, RFN, Szwecji, USA i Węgier. Nieliczna to grupa.

● Pani Maria Pomiarowska przekazała testamentem dla Muzeum B. Prusa w Nałęczowie okazały słozy sygnet z końca XVIII wieku, zaopatrzony w rodziny herb Głowackich — Prus I.

● Prezes RSW „Prasa-Książka-Ruch” przyznał doroczną nagrodę. Wśród laureatów znaleźli się m.in.: zespół redakcyjny „Kurier Lubelski”, Jerzy Denisiuk, kierownik działu rolnego „Sztandar Ludu”, Marek Adam Jaworski, redaktor naczelny „Kamery” i Włodzisław Masurkiewicz, dyrektor ośrodka wycieczkowego w Kazimierzu.

# Czy stać nas na kryzysy?

Ciąg dalszy ze str. 1

dzie, przyciśniemy gaz do oporu i tak sobie będziemy jechali zadowoleni z siebie (nie bacząc na światła, które będą mrugały pod zasłoną), to rychło możemy znaleźć się w rowie, zatrzczyć silnik itp. Po takiej jeździe samochodów może się okazać, że to tylko na szmelc lub kierowca do... wymiany. Myślę, że tej prężności nie potrzebują dalej rozwijać.

— Istotnie, jest nadto czytelną. Nim przejdziemy do tych zabezpieczeń powiedzmy, jak układają się losy komisji po IX Zjeździe.

— Już 2 września 1981 roku III Plenum, wykonując uchwałę, powołało komisję i jej 34-osobowy skład: Kazimierz Barcikowski, Józef Baryła, Andrzej Burda, Eugeniusz Duraczyński, Tadeusz Fiszczak, Jan Głowczyk, Ludwik Janczyszyn, Czesław Kiszczak, Zbigniew Kowalski, Stanisław Kalkus, Hieronim Kubiak, Ryszard Kucharski, Jan Łabecki, Jarosław Ładosz, Marian Marek, Władysław Markiewicz, Zbigniew Messner, Norbert Michła, Jan Mikulski, Mirosław Milewski, Stanisław Miśkiewicz, Józef Mitak, Jadwiga Nowakowska, Marian Orzechowski, Mieczysław F. Rakowski, Jerzy Romanik, Wiesław Skrzydło, Edward Skrzypczak, Maria Stadnicka, Bronisław Syzdek, Romuald Szewgler, Jerzy Topolski, Jerzy Wiatr, Sylwester Zawadzki. Znalazł się tutaj dość szeroki wachlarz społeczno-zawodowy: byli tu robotnicy, chłopcy, naukowcy, członkowie Biura Politycznego i sekretarze KC, ministrowie. Nasze województwo było reprezentowane w komisji przez trzy osoby: Marię Marka, robotnika z FSC w Lublinie, prof. Andrzeja Burdę z UMCS i mnie.

III Plenum bliżej sprecyzowało zadania komisji mówiąc, że jej celem jest zbadanie i określenie społecznego, ekonomicznego i politycznego podłoża, jak również przebiegu kryzysów, napięć i konfliktów, dalej — przedstawienie propozycji dotyczących sposobów badania i analiz życia społeczno-politycznego (ważnego instrumentu umożliwiającego możliwie wczesne dostrzeżenie narastania konfliktów) oraz sformułowanie zasad i metod rozwiązywania konfliktów w przyszłości.

Miesiąc później, 7 października 1981 roku, odbyło się pierwsze posiedzenie komisji, na którym dokonano wyboru przewodniczącego; został nim Hieronim Kubiak. Ustalono także powołanie trzech zespołów analizujących poszczególne okresy historii powojennej: 1948-1956, 1968-1970 i 1976-1980. Już po zakończeniu prac powołano czwarty zespół złożony z kierowników trzech wymienionych i przewodniczącego Kubiaka, celem ostatecznego zredagowania raportu.

Po podzieleniu zadań w komisjach i ustaleniu ich harmonogramu pracy rozpoczęła się robota.

— Proponowałbym sprecyzowanie, co komisja rozumiała jako konflikt, a co jako kryzys. Na dobrą sprawę, w mowie potocznej, obu pojęć używano zamiennie, nazywając wasze grono „zespołem d/s kryzysów”, „komisją do badania konfliktów” itp.

— Potrzeba precyzji terminologicznej przyswiecała nam od początku. U podłoża konfliktów leżą sprzeczności interesów grup lub klas społecznych, przy czym konflikt to sytuacja kiedy grupy lub klasy dążą do celów przeciwnych. W przypadku nierozwiązywania konfliktów przybierają one w skumulowanej postaci formę kryzysów społecznych. Tak więc zjawiskami groźniejszymi są kryzysy. W raporcie kryzys społeczny określiliśmy jako proces patologicznych zmian w treściach i formach życia zbiorowego, który może się odnosić do całego społeczeństwa lub do poszczególnych dziedzin jego egzystencji. Zatem nie każdy konflikt jest kryzysem, natomiast kryzys obejmuje nieraz cały zespół konfliktów.

— Czy opierałście się na swoich siłach, czy korzystaliście także z jakiejś pomocy spoza komisji?

— Wykonanie ogromu prac, jaki przed nami stał, byłoby niemożliwe bez pomocy z zewnątrz. Zamówiono wykonanie lub zlecono 69 ekspertyz, zarówno osobom indywidualnym, jak i placówkom naukowo-badawczym. Nawiązano ścisły kontakt z komitetami wojewódzkimi tych regionów, gdzie konflikty wystąpiły ze szczególną ostrością (Gdańsk, Szczecin, Poznań, Radom, Łódź). Dotarto do materiałów źródłowych w archiwach: KC, Kancelarii i Sekretariatu KC, MON, MSW, a także ogólnodostępnych. Gromadzone materiały poddawane były bieżącej konsultacjom w różnych środowiskach społecznych, organizowano sesje naukowe w kilku środowiskach akademickich i uczelniach, zapraszano na posiedzenia zespołów i plenarne komisji ekspertów świadków wydarzeń, organizowano dyskusje panelowe. Tak opracowany materiał wstępny przedłożony został na Biuro Polityczne w sierpniu roku ubiegłego. Przestrzegaliśmy terminu zakończenia prac w ciągu roku, do czego obligowały stosowne uchwały.

— Jak został ten materiał przyjęty przez Biuro Polityczne?

— Pozytywnie. Wskazano nam jednak konieczność uzupełnień, dodatkowych ekspertyz, analiz, badań dla dokonania ostatecznych ustaleń i ocen, a tym samym sformułowania końcowej wersji raportu. Wskazania te uznaliśmy za zasadne i wykonałyśmy dodatkowe czynności, co znalazło wyraz w materiale przedstawionym na XII Plenum.

— Wróćmy do podziału na zespoły, jednego z których był zresztą Profesor kierownikiem. Skąd taka podziałka?

— Myślę, że pytanie dotyczy przede wszystkim okresu 1948-1956, którym zajmował się zespół pod moim kierownictwem. A to z tego względu, że w dotychczasowych analizach i dociekaniach zwykle nie dostrzegano pełnego znaczenia wydarzeń 1948 roku i — powiedzmy dwóch lat następnych, bacząc raczej na okres 1952-1956. Doszliśmy do wniosku, że już w 48-mym były nie wygaszone źródła przyszłych konfliktów. Idąc jeszcze dalej, źródła takie można by dostrzec nawet w roku 1938, w faksie delegacji KPP i konsekwencji, jakie to zrodziło.

— Myślę, że jest to stosowna pora do zajęcia się poszczególnymi okresami. Jakież fakty polityczne, gospodarcze i społeczne oraz jakie związane z nimi konflikty leżały u podłoża kryzysu narastającego między 1948 a 1957?

— Rok 1948 był ostatnim rokiem Planu Trzyletniego, pomyślnie finalizowanego we wszystkich założonych dziedzinach. Rok ten w zasadzie kończył pierwszy najpilniejszy etap wznoszenia kraju z ruiny, a także stanowił przesilenie walki z podziemiem zbrojnym. Były to fakty konstruktywne, osiągnięte dzięki wielkiemu zaangażowaniu zdecydowanej większości społeczeństwa polskiego.

Jednocześnie 1948 rok przynosił w Jugosławii znany konflikt i pytania — bardzo zresztą istotne — o granice samodzielnosci partii i internacjonalizmu.

Staje się aktualne pytanie: co to jest państwo ludowo-demokratyczne i na czym ma polegać istota tego czegoś „trzeciego”, pomiędzy kapitalizmem a socjalizmem? W takich warunkach dochodzi do Plenum KC PPR na przełomie sierpnia i września, na którym usunięto z kierownictwa Władysława Gomułka i sformułowano tezę o odchyleniu nacjonalistyczno-prawicowym „Diagnozie” tej podporządkowane będą działania nowego kierownictwa z Bierutem, praktycznie aż do śmierci Stalina w 1953 roku. To w polityce wewnętrznej.

W polityce zagranicznej nastąpił znaczny usztywnienie stosunków międzynarodowych, związane z wojną koreańską (wybuch w 1950 roku) i zimną wojną. Będzie to rzutować także na sytuację wewnętrzną.

Dla społeczeństwa nastąpił bardzo trudny okres. Z jednej strony — pod wpływem tezy o zagrożeniu socjalizmu — prowadzone będą represje. Z drugiej, nastąpi znaczne obniżenie poziomu życia, związane z wyraźnym priorytetem dla funduszu inwestycyjnego (kosztem konsumpcji), a wyrażające się — przede wszystkim — w rozbudowie przemysłu ciężkiego.

W stosunkach wewnątrzpartyjnych dominować będzie system zwany „kultem jednostki”, oznaczający podejrzliwość, sekciarstwo. Będzie to silnie rzutować na stosunki władza — społeczeństwo. Jednocześnie w ówczesnym kierownictwie partyjnym przez długi czas nie będzie widać wyciągania adekwatnych wniosków z sytuacji społecznej. Tablica sygnalizacyjna będzie zakryta...

— Do momentu, aż wehikul wylądował w rowie, w czerwcu 1956?

— Wtedy rzeczywiście nastąpiła katastrofa tego pojazdu. Ale chciałbym zauważyć, że próby zagładania pod „przykrywkę” tablicy pojawiały się od marca 1954 roku, od II Zjazdu PZPR. Wniósł on pewne korekty do planu gospodarczego. W grudniu tegoż roku na krajowej naradzie aktywno partyjnego poddane zostanie krytyce życie wewnątrzpartyjne. III Plenum w styczniu 1955 roku dokona zmian w organizacji UB i zlikwiduje Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego. Decyzje te wskazują, że sprostowania dokonywane były trafnie, ale realizacja tych decyzji była bardzo niekonsekwentna. Kryzys społeczny narastał i wybuchł w czerwcu 1956 roku w Poznaniu.

— Czy nie sądzi Profesor, że to zagładanie pod „przykrywkę” było wykonywaniem ruchów pozornych, bez realnych zmian?

— Można przyjąć i taką tezę. Ja bym z nią dyskutował. Takie ruchy, jeśli miały pozostać pozornymi, niesły ogromne zagrożenie: wskazywano bowiem, że idzie się źle i przynawano się do tego. To przecież daje ważki argument przeciwnikowi w dyskusji; w tym wypadku społeczeństwu. Nie, nie sądzę, aby tak było. Poza tym niech pan zauważy, że było już po śmierci Stalina i w partii istniało duże parcie na rozstanie z „kultem jednostki” i stalinizmem w ogóle.

— Czyli, o ile dobrze rozumiem, dramat poznański był niepotrzebnym dramatem, bo i tak sytuacja by się jakoś „wyprostowała”?

— Nie Tak też nie można powiedzieć. Dramat czerwca '56 spowodował otrząśnięcie, Uświadomienie, że tak dłużej nie można, że to nie jest droga lenińska.

— Jak w tym kontekście wygląda teza o odchyleniu nacjonalistyczno-prawicowym Gomułka?

— Była całkowicie błędna. Gomułka nie był ani nacjonalistą, ani prawicowcem. Wtedy, w 1948 roku, zachował się godnie i w myśl swoich zasad, iż nigdy nie należy przedkładać dobra własnego nad dobro ogólne; w tamtych warunkach — nad dobro partii. Wykorzystując swoją popularność, mógł doprowadzić do rozbitcia PPR lecz tego nie uczynił.

— Odchylenie było więc mitem?

— Było odchylenie dogmatyczno-sekciarskie, przeciwne postawie Gomułka. Zastanawiając się nad jego źródłami, doszliśmy do wniosku, że leżą one jeszcze w historii KPP. Partia ta działała legalnie bardzo krótko. Stąd metody przez nią stosowane nie były typowe dla metod partii legalnie istniejącej. Dotyczyło to sposobu kierowania partią, ustalania polityki, oddziaływania na społeczeństwo. Mechanizmy działania w tamtym czasie ulegały silnemu zakodowaniu i uzewnętrznili się z dużą siłą w przyszłości. Głównym błędem było dostrzeżenie rzeczywistości w sposób bardzo uproszczony i schematyczny, dwuwymiarowy. Stąd też brała się nieufność wobec innych działaczy, nie wywodzących się z tej samej partii, czy bardziej ogólnie — nieufność generalna.

— Czy stąd brały się podziały na grupy tych, którzy sędzieli wojnę w kraju, tych, co spędzili ją w ZSRR i jeszcze innych, tych przybywających z Zachodu?

— Owszem, były widoczne takie powiązania, kurezowe trzymanie się siebie, tworzenie grup nacisku. Nie było tu jednak aż tak wyraźnej cezur „geograficznej”. Na przykład Józwiak, „krajowiec”, skłaniał się wyraźnie ku grupom bardziej dogmatycznym. Da się znaleźć także przykłady odwrotne.

Można jednak sformułować pogląd, że działal-

ność w okupowanym kraju była zasadniczo różna od tej poza Polską, inne były nie tylko jej warunki, ale i uwarunkowania: trzeba było uwzględnić także inne siły społeczne, inne ugrupowania. To rozdziło pewną elastyczność.

— Kryzys 1948-1956 dało się rozstrząsać stosunkowo niewielkim kosztem i w krótkim czasie...

— Tak Zaważyła tu w sposób decydujący postać „Wiesława”, który cieszył się wielką popularnością w szeregach partii i w społeczeństwie. Wierność przyjętym pryncypiom, a przede wszystkim przesładowania, jakim był poddawany, bardzo silnie przemawiały do wyobraźni Polaków w owym czasie.

— Jak wasza komisja oceniła rozwiązanie kryzysu 1948-1956?

— Komisja oceniła go jednoznacznie. Nie po linii tych, którzy dostrzegali w Poznaniu wystąpienie kontrrewolucyjne i grozili odrąbaniem ręki podniesionej na władzę. Nie mieliśmy podstaw podważać także tego, co znalazło się w referacie Gomułka na październikowym VIII Plenum: że Poznań był słusznym sprzeciwem klasy robotniczej przeciwko metodom sprawowania władzy i błędem polityki ekonomicznej. Oczywiście, jak pod każdy tego typu protest, podłączyły się lub próbowały podłączyć elementy nie mające nic wspólnego z socjalizmem, nie zmienia to jednak oceny generalnej.

— Czy komisja zadawała sobie pytanie, dlaczego kryzys ten nie był ostrzejszy? Albo inaczej: dlaczego po październiku następowano swobodnie wycofywaniu się z zapowiedzi „ch, a nawet częściowo już realizowania reform?”

— Jest tutaj wielki dramat Gomułka. Nie miał on szczęścia i w doborze ludzi i w — o ile to może być argumentem — sytuacji międzynarodowej. Współpracownicy, którymi się otoczył jedynie werbalnie deklarowali gotowość do reform, reprezentując w gruncie rzeczy kierunek zachowawczy. Zaznaczyło się to ówczesnymi rewizjonistycznymi, liberalnymi itd. Nie można wykluczyć istnienia nurtu rewizjonizmu, pod który usilowały zresztą podłączyć się, próbując wykorzystać sytuację, inne siły, ale akcentowanie tego zjawiska było przesadne. W płaszczyźnie międzynarodowej wydarzeniem niewątpliwie silnie działającym na wyobraźnię „Wiesława” był październik na Węgrzech i związana z tym tragedia narodu węgierskiego. Warto przy tym pamiętać, że w wystąpieniach węgierskich postępowano się i posilkowano — głównie w sferze propagandowej — przykładem wydarzeń w Polsce. Wydaje się, że te okoliczności miały decydujący wpływ na wycofanie się Gomułka z programu zawartego w słynnym przemówieniu na VIII Plenum.

Przekładając to na płaszczyznę osobistą ówczesnego I sekretarza można dojść do wniosku, iż po raz drugi (po 1948 r.) podejmował on wówczas decyzję zgodną z wewnętrznym przekonaniem — dziś można zastanawiać się, czy trafny — jej słuszości i celowości dla partii, ale niewątpliwie oddalająca go od społeczeństwa.

W miarę upływu czasu rozróżnienie i rzeczywistości był coraz wyraźniejszy. Tylko dwa lata utrzymały się np. rady robotnicze, istotny element zabezpieczający przed nieprawidłowościami i błędami polityki ekonomicznej. Następował powolny powrót do niektórych metod rządzenia stosowanych w latach poprzednich.

Nie bez wpływu na ten proces miały także pewne cechy osobowości Gomułka: apodyktyczność, autokratyzm, brak zaufania. Jak ustaliła nasza komisja, Biuro Polityczne odywały się radzko, a wiele decyzji Sekretariatu KC załatwiano obiegami. Gomułka podpisywał przygotowany mu tekst, a potem trafiało to do innych sekretarzy, którzy w zasadzie nie mieli już nic do roboty, jak tylko podpisywać. Następowal zanik kolegalności podejmowania decyzji, dyskusji, pole krytyki ulegało gwałtownemu zawężaniu. Gomułce wydawało się, że skoro jest on człowiekiem wychowanym w twardych realiach, znającym niedostatek, zaprawionym w walce politycznej i zbrojnej, o skromnych wymaganiach, by nie powiedziałem ascetycznym, a nade wszystko uczciwym, to ów „bagaż życiowy” daje mu legitymację do pewnej nieomyślności, autorytatywnego rozstrzygnięcia kwestii zasadniczych. Był to jego kolejny dramat osobisty. Szczęśliwie wyraźny w grudniu 1970 roku.

— O ile dobrze zrozumiałem, już w początkach okresu Gomułka” tworzyły się podwaliny pod... nowy kryzys. Jak to narastało?

— Początkowy okres sprawowania władzy przez Gomułka można by nazwać walką o utrzymanie zasad socjalizmu. W tym czasie Gomułka skoncentrował się na walce z tendencjami rewizjonistycznymi (mniejszą uwagę poświęcając dogmatyzmowi). Jednym z etapów tej walki były wybory w lutym 1957 roku, poprzedzone apelem „Wiesława” o głosowanie bez skreśleń. Wtedy było to celowe, ale niestety później praktyka ta odegrała bardzo niechlubną rolę. Potem nastąpiło narastanie konfliktu w środowiskach twórczych, rozwiązanie grupy „Po prostu”, która odegrała niemałą rolę w przemianach 1956 roku i kreowaniu samego Gomułka. Tym zjawiskom towarzyszyła stagnacja gospodarcza. Gomułka był człowiekiem ostrożnym i unikał zaciągania pożyczek, ale nie wynikało to z wiedzy i koncepcji ekonomicznych, a z pragmatyki, „mądrości życiowej”. Miał on świadomość, że pożyczkobiorca uzależnia się od pożyczkodawcy i tego się przede wszystkim obawiał. Dochody ludności rosły więc w tempie zupełnie nieodczuwalnym (około 2% rocznie), co pogłębiało apatię społeczeństwa i niezadowolone. W późniejszych latach dołączyły się do tego praktyki władzy lekceważące znaczenie dialogu ze społeczeństwem (w postaci chociażby Sejmu, czy rad narodowych).

Przy tym wszystkim należy jednak jasno zau-

Dokończenie na str. 4

# Czy stać nas na kryzysy?

Dokończenie ze str. 3

ważąc, że Gomułka nie miał potknąć w polityce zagranicznej Wymieński chociażby układ normalizujący stosunki z NRF. Jego plan pokojowy... Jako bolesny paradoks losów osobistych tego polityka wystarczy przypomnieć, że na kilka dni przed swoim upadkiem w grudniu 1970 roku podpisał właśnie wspomniany układ polsko-NRF-owski. Okazało się, że sukces ten mało jednak ważył na szali społecznego niezadowolenia.

— Na okres kierowania partią przez Gomułkę przypada drugi okres kryzysowy 1968–1970, będący przedmiotem badań komisji. Jaka była jego charakterystyka?

— Roku 1968 nie traktowaliśmy jako oddzielnego kryzysu, a jako pewien sygnał ostrzegawczy, konflikt. Zewnętrzną jego oznaką były wydarzenia marcowe w Warszawie, po zdjęciu z afisza „Dziadów” w reżyserii Dejmka. Podczas tych wydarzeń ujawniły się osoby pochodzące z kręgów zdecydowanie dogmatycznych, a wówczas mieniących się liberałami. Wiele z nich przeszło po 1975 roku do działalności jawnie antysojalistycznej. Dochodzi do tego walka pewnych odłamów w partii o wpływy, a predyktorem ze strony sytuacji międzynarodowej staje się — w pewnym stopniu — agresja Izraela na kraje arabskie i rozbieżności w jej ocenie płynące chociażby ze względów narodowościowych. Te sprawy komisja zaznaczyła nie badając ich jednak szczegółowo. Podobnie zaakcentowane zostały tylko konflikty między państwem a Kościołem na tle Millem i listu biskupów polskich do biskupów niemieckich. Jako cechą charakterystyczną tego konfliktu należy wymienić zaangażowanie weli tylko środowisk studenckich i inteligentkich oraz pewną „nieczytelność” tego konfliktu dla klasy robotniczej i związane z tym jej niezangażowanie.

Jednocześnie warto podkreślić jest niewyciągnięcie z nauki 1968 roku wniosków przez władze partyjne i państwowe i zignorowanie tego sygnału ostrzegawczego, uznanego za jednorazową rozróbę studencką inspirowaną przez syjonistów.

— Konsekwencje przyszło płacić dwa lata później.

— Tak. Tendencje stagnacyjne, o których już mówiłem, nadal się pogłębiały przy jednoczesnym narastaniu niedrożności kanałów informacyjnych na linii władza — społeczeństwo; właściwie funkcjonowały one jednokierunkowo, a i to nadawano nimi informacje niekoniecznie odpowiadające prawdzie. Może świadczyć o tym braku rzetelnego rozeznania fakt podjęcia decyzji o podwyżkach cen żywności tuż przed świętami. Był to błąd psychologiczny, abstrahując od jego zasadności ekonomicznej. Nastąpiły znane wydarzenia na Wybrzeżu, które doprowadziły do zmian w kierownictwie politycznym i państwowym.

— Czy konflikt na Wybrzeżu, jako końcowe stadium kryzysu nastąpiły, gdyby nie podwyżki?

— Może nie w tym czasie, ale napięcie społeczne było tak duże, że coś musiało się stać.

— Mimo dość obszernej wiedzy o wydarzeniach grudnia, wiele spraw pozostaje otoczonych tajemnicą. Chciałbyś działania komisji Szydłaka i potem komisji Kruczkę. Czy komisja Kubiaka miała dostęp do materiałów poprzedniczek?

— Nie. Nie wiem nawet, czy się gdziekolwiek zachowały. Jeśli chodzi o komisję Kruczkę, to wiem, że przedstawiła ona krótką informację najwyższym władzom partyjnym, a także członkom ustępującego na VII Zjeździe KC. Byłem delegatem na ten zjazd, ale dowiedziałem się o niej dopiero podczas prac komisji...

— Czy konflikt na Wybrzeżu musiał zakończyć się tragedią?

— Nie musiał. Na Wybrzeżu, w różnych rzutach, dojeżdżały z Warszawy liczne osobistości szczebla partyjnego i państwowego. Byli w Gdańsku m.in. Kłiszko, Loga-Sowiński, Kociołek, Korczyński. Wchodził oni w skład różnych grup mniej lub bardziej formalnych i kompetentnych w podejmowaniu decyzji. Błędem było, iż nie tworzyli oni

jednego ciała, sztabu, ośrodka decyzyjnego. Gdyby tak się stało, można by uniknąć sprzecznych decyzji, które stały się przyczyną dezorientacji robotników i w dalszej konsekwencji tragedii. Kłiszko, na przykład, podjął decyzję o zablokowaniu Stoczni im. Komuny Paryskiej w Gdyni, zaś Kociołek apelował o powrót do pracy. Idący do stoczni robotnicy napotkali przed jej bramą wojsko i doszło do użycia broni...

— Jak komisja zdefiniowała kryzys 1970 roku?

— Był to, od dłuższego czasu, narastający kryzys zaufania między kierownictwem partii, a klasą robotniczą. To jest element dominujący, występujący najostreż...

— Kryzys grudniowy udało się rozwiązać dość szybko...

— Zaważyła tu postawa grudniowego Plenum KC i zmiany we władzach, jakie wówczas podjęto. W pewnym sensie miała na to także wpływ postać Gierka, który — w odczuciu społecznym — był człowiekiem „nowym” i nie związanym ściśle z ekipą Gomułki. Był spoza Warszawy, co wówczas przemawiało na korzyść. Miał też za sobą, co eksponowano, przeszłość górniczą. Wszystko to, plus bardzo dobre propagandowo „wejście” w rolę podczas spotkania ze stoczniovcami, z pamiętnym pytaniem retorycznym: „Pomożecie?”, zjednało mu społeczną sympatię i stworzyło określone nadzieje na zmianę sytuacji. Otrzymał wielki kredyt zaufania, który był pomocny w sprawowaniu władzy przez pierwsze lata siedemdziesiątych. Niestety kredyt ten został zatracony. Podobnie zresztą jak i inne kredyty: bardziej wymierne materialnie...

— Dochodzimy zatem do czasów najbliższych nam. Jaką ocenę uzyskał kryzys lat 1976–1980?

— Myślę, że są to sprawy na tyle bliskie, iż każdy ma do nich własny stosunek. Komisja, mając na uwadze liczne analizy, opracowania, raporty wykonane w ostatnich trzech latach, podzieliła poglądy, że przyczyną kryzysu była pogarszająca się sytuacja gospodarcza, związana ściśle z polityką kredytową. Musiało to w końcu doprowadzić do niepopularnych rozwiązań i decyzji obniżających poziom życia klasy robotniczej, a w efekcie do sprzeciwu. Czynnikiem dodatkowym była arogancja władzy, nie zwracającej uwagi na stan nastrojów społecznych i społeczny odbiór jej decyzji.

— Nie bez znaczenia była tu także sytuacja międzynarodowa, która przyczyniła się do pogłębienia kryzysu gospodarczego, a pośrednio i społecznego. Po pierwszej pięćdziesiątce dekady (1971–1975) zaczęliśmy odczuwać skutki kryzysu paliwowego, który dotknął cały świat zachodni. Nastąpiły w nim znaczne redukcje oszczędnościowe i zwięźlenie rynków zbytu. A trzeba pamiętać, że wiele licencji, które nabywaliśmy na Zachodzie, miało się spłacać właśnie produkcją o nie opartą. W teń brały też prognozy eksportowe surowców i towarów wytwarzanych na bazie własnych bogactw i możliwości technicznych. Jednocześnie boom inwestycyjny — hamowany na Zachodzie — u nas wcale nie ustawał, a nawet przybierał formy niekontrolowane za sprawą woluntaryzmu; pojawiały się decyzje o budowach czegoś, czego nie było w planie. W takiej sytuacji równowaga gospodarcza musiała ulec zachwianiu. Próbowano wykonać manewr związany z zawężeniem frontu inwestycyjnego, ale udało się on połowicznie. Próbowano także zmieniać strukturę spożycia poprzez podwyżkę cen w 1976 roku, ale była ona przygotowana w sposób ingorujący opinię społeczną, a także wadliwie ze strony ekonomicznej (najwyższe rekompensaty mieli otrzymać najlepiej zarabiający). Zakończyło się to kolejnym sprzeciwem robotniczym w Radomiu i trzeba się było z tego pomysłu szybko wycofywać. Sytuacja robiła się już naprawdę dramatyczna, bo nie tylko brakowało środków na inwestycje, ale zaczynało brakować na konsumpcję. Ratunku szukano w kredytach udzielanych nam zresztą chętnie, bo w sytuacji kryzysu najbardziej

opłaca się eksport pieniędzy toczywiście przy gwarancji ściąganości zadłużenia). Koło się zamykało...

— Czy sytuacji tej można było uniknąć?

— Można było. Ekipa Gierka uległa pokusie „opozycjonizmu” wobec poprzedniej Korzystając z kredytu społecznego zaufania, starała się robić odwrotnie niż ekipa Gomułki. Skoro Gomułka nie dążył do aktywizacji gospodarki poprzez politykę kredytową, to Gierek chciał to właśnie zrobić i to w sposób oszalamający cały świat. Bez liczenia się z możliwościami kraju, jego potencjału ludzkiego i technicznego. Bez zwracania uwagi na zmienność koniunktur na rynkach zachodnich. Bez racjonalnego planowania. Wydaje się, że można było znaleźć wariant pośredni... Mniej pożyczek i... informować o tym społeczeństwo. Stworzyłoby to naturalną łanę dla późniejszego szaleństwa kredytowego. Zabrakło podmiotowości w traktowaniu tych, w imieniu których sprawowało się władzę.

— Omówiliśmy kryzysy społeczne, którymi zajmowała się wasza komisja. Pora na wnioski. Nie trudno dostrzec, że we wszystkich kryzysach wiele jest elementów wspólnych.

— Po pierwsze — trzeba stwierdzić, że przyczynami kryzysów społecznych w Polsce nie były zasady ustrojowe socjalizmu, jak to próbowała interpretować opozycja polityczna. Strajkujący stoczniovcy gdańscy umieszczali na murach napisy: „Socjalizm — tak! Wypaczenia — nie!” Przyczynami były błędy w realizacji zasad socjalizmu. To jest wniosek generalny. Z niego wynikają kolejne. Przy uwzględnieniu sprzeczności społeczno-ekonomicznych naszego rozwoju i jego złożoności trzeba zwracać uwagę na takie fakty cyklicznie się powtarzające, jak: 1) niesprawiedliwość społeczną, wyrażającą się tworzeniem różnic materialnych i przywilejów między różnymi grupami społeczeństwa (stąd np. konieczność badania warunków bytowych klasy robotniczej i jej położenia socjalnego); 2) brak jawności życia i działalności politycznej, prowadzące do arogancji, partykularyzmu, woluntaryzmu, lekceważenia społeczeństwa (stąd wielka rola kontroli społecznej, której władza musi być poddawana w przypadku władzy partyjnej przez normy statutowe, KC i zjazdy, w przypadku władzy państwowej — przez jej organa przedstawicielskie — rady narodowe, Sejm); 3) brak demokracji w poczynaniach władzy i brak demokracji wewnątrzpartyjnej (silnie rzutujące na stosunki w państwie i społeczeństwie (stąd zadanie podstawowej wagi, jakim jest ściśle przestrzeganie demokracji w partii od demokratycznych wyborów poczynając poprzez demokratyczne zabezpieczenia statutowe, do demokratycznego rozliczania wszystkich jej członków); 4) błędy i wypaczenia w sprawowaniu przez partię jej kierowniczej roli (stąd konieczność właściwego odczytywania przez partię żywotnych interesów i potrzeb społeczeństwa oraz dążenia do bezkonfliktowego i sprawiedliwego ich zaspokajania); 5) brak systemów zabezpieczających przed powstawaniem konfliktów (stąd rola wnikliwego śledzenia potrzeb społecznych i trudności na drodze ich realizacji; stąd też rola ciał typu Trybunał Konstytucyjny i Trybunał Stanu zabezpieczających społeczeństwo przed wypaczeniami i błędami władzy).

Te właśnie sprawy są wyraźnie i z całą mocą w raporcie akcentowane. Zwracamy także i na to uwagę, że w okresie przejściowym od kapitalizmu, w jakim się obecnie znajdujemy, toczy się walka polityczna i istnieje opozycja polityczna wcale nie zamierzająca wspólnie przeciwdziałać z nami w unikaniu konfliktów i kryzysów.

Tak przedstawiają się generalia wykonanej przez nas pracy dokumentacyjnej, analitycznej i postulatywnej. Mam nadzieję, jako członek komisji, iż trud nasz nie był daremny...

— W podobnej nadziei pozostaje „Kamena”, przedstawiając Czytelnikom — w tej formie — niektóre treści raportu komisji Kubiaka i zachęcając do lektury, po opublikowaniu.

Rozmawiał:

Waldemar Piasecki

## JAK wiadomo, w pierwszych dniach lipca historyczna już hala „Olivia” była miejscem Ogólnopolskiej Rady Aktywu Młodzieżowego PZPR, pomyslanej jako płaszczyzna rozważań nad wzmocnieniem ideologicznego i politycznego oddziaływania partii na młode pokolenie, a także nad kwestią pełniejszego wykorzystania w samej partii potencjału myśli, uczuć i energii jej młodych członków.

Jan Boreczek ma 28 lat. Jest historykiem, uczy w III Liceum Ogólnokształcącym im. Unii Lubelskiej w Lublinie. Do partii wstąpił sześć lat temu, do Gdańska pojechał jako instruktor ZHP z Komendy Hufca Miasto Lublin.

— Czy jadąc na naradę, zdawał pan sobie sprawę z faktu, iż od tego, o czym będziecie mówili, zależy w jakiej mierze przyszłość kraju?

— Bardzo chciałem wziąć udział w naradzie, jak chyba zresztą każdy młody, któremu leży na sercu los ojczyzny. Sądziłem, że takie spotkanie może spełnić jedną bardzo ważną rolę — stać się pokoleniowym pomostem, uzmysłowić młodym i władzy, ile jest do zrobienia, pokazać, jak mało „górną” wie o problemach „dołu”. Do Gdańska jechałem z nadzieją, iż być może szeroka reprezentacja członków i kan-

## Z nadzieją...

dydatów partii z całego kraju „ruszy z posad bryłę świata”. Nie oczekiwałem cudu, ale szczerą i konstruktywną wymianę poglądów.

— Rozczarował się pan?

— Trudno generalizować. W „Olivii” zabierał głos wielu mówców, ale w moim mniemaniu może zbyt mało było takich, którzy mówili konkretnie i interesująco o sprawach nurtujących młodzież, o niedowładzie gospodarczym i administracyjnym panującym w Polsce. Z drugiej strony... Nie wypada chwalić własnego podwórka, ale muszę wspomnieć, iż w pełni uzasadnione były owacje, jakimi przyjęto wystąpienie studenta UMCS, kolegi Jacka Zadurskiego. Spodziewałem się, że takich szczerych i mądrych głosów będzie więcej.

— Interesującym novum było umożliwienie kontaktów z członkami Biura Politycznego oraz przedstawicielami rządu. Podobno w kuluarach było bardzo „gorąco”?

— Tak. Młodzi, nie bacząc na aurytety, odważnie dzielili się z przedstawicielami rządu swoimi poglądami. Były to w zdecydowanej większości uwagi pełne krytycyzmu, ale i troski zarazem. Wytykano popełnione błędy, proponując równocześnie działania

zmierzające do ich eliminowania w przyszłości. Rozmawiano otwarcie i uczciwie, jak Polak z Polakiem. Tak dialog powinien stać się stałym składnikiem kultury politycznej naszego narodu. Małe udało się dostać do „boksu” przedstawicieli wojska. Zastępca szefa Głównego Zarządu Politycznego WP, gen. bryg. dr Władysław Honiński, był zbulwersowany nakreślonym przeze mnie „lubelskim modelem” wychowywania młodzieży. Nie mógł zrozumieć, podobnie jak ja, dlaczego Komenda Chorągwi ZHP wysłała do Zaklikowa, na szkolenie instruktorów, uczniów nie należących do harcerstwa i na domiar wszystkiego — z wieloma ocenami niedostatecznymi na świadectwach szkolnych. I z jakich to „względów” młodzi ludzie z III Liceum Ogólnokształcącego w Lublinie, nie mając ku temu żadnych podstaw, wyjadą w tym roku na zagranicę OHP? Generalnie niezwykle serdecznie podszedł do zasygnalizowanych spraw i obiecał mi oraz 26 innym nauczycielom z całej Polski, że dokładne sprawozdania z rozmów przedstawi premierowi Jaruzelskiemu.

— Jaka młodzież obradowała w Gdańsku?

— Pragnąc być partnerem dla wła-

dy w rządzeniu krajem. Doskonale zorientowana w jego bolączkach. Zdająca sobie sprawę, że tylko solidna praca i umiejętne wykorzystywanie jej efektów to sposób na kryzys. Rzecz jasna, nie wszyscy potraktowali dwudniowe obrady z wiarą w przyszłość; zdecydowanych sceptyków było jednak niewiele. Pomimo bagażu przykrych doświadczeń ludzie nadal są pełni optymizmu. Młodość każe wierzyć w walkę z karierowiczostwem, klikami czy zw/kliem złodziejstwem jest możliwa. Partia w młodzieży ma prawdziwego sojusznika, chodzi o to, aby potraktować go poważnie, dać mu szansę realnego działania i współtworzenia współczesnej historii.

— Jak dzisiaj, z perspektywy kilku tygodni, ocenia pan lipcowe spotkanie?

— Przyznam szczerze, że spodziewałem się przeżyć w Gdańsku nieco więcej wrażeń. W hall „Olivia” jak na moje oczekiwania, mówiono zbyt ogólnie. Obrady zdecydowanie „uratowały” rozmowy kulturalowe. Na ich efekty czekam niecierpliwie i z dużą wiarą. Szefowie resortów zobowiązani zostali przez nas do efektywnego działania. Jeżeli dotrzymają słowa, partia i rząd zdobędą ważki atut w dialogu z młodzieżą i całym społeczeństwem.

— Dziękuję za rozmowę.

Rozm.: Artur Borkowski

# W LABIRYNTACH WSZECHŚWIATA

Witold Wawrzonek

**M**ARTWE przedmioty milczącym strzegąc swą tajemnicę i całą naturą, rozbrzmiewająca z kolei tysiącami niezrozumiałych dla nas języków, każą myśleć, że istnieje jeszcze ktoś poza nami — bliski, a niedostępny, niedościgniony, wymykający się ludzkiemu poznaniu.

Próbujemy jednak rozwiązać tajemnicę prapoczątku istnienia świata, chcemy również zrozumieć rolę, jaką wygrało nam w tym wielkim dramacie odgrywać. Dlatego też staramy się ogarnąć coraz to większe obszary niewiedzy — sięgamy w głąb dziejów i patrzymy w niebo, gdzie widnieją obiekty o niezwyklej piękności i tajemniczości.

Wiemy zarazem, że istnieją bariery na drodze naszego rozumienia przyrody: odległości, poza którymi nic już nie widzimy, miejsca, do których nigdy nie dotrzemy. Ale wiemy też z dostateczną pewnością, że jedynie wiedza — a nie wiara — może uwolnić nas od lęku przed niepojętym. I dlatego też na tej opoce zbudowaliśmy nasz Nowy Kościół.

Gdy Albert Einstein opublikował matematyczne równania swojej teorii, wynioskowano, że dopuszczając one możliwość istnienia nie jednego, a dwóch Wszechświatów: „dodatniego”, naszego Wszechświata cząstek materialnych i „ujemnego”, którego pewne właściwości można wydedukować właśnie z tej teorii. Ale po jej ogłoszeniu, przez kilkanaście lat sądzono, że stanowi ona model czysto fikcyjny, nie znajdujący potwierdzenia w rzeczywistości; takowe nieraz zdarzają się przy próbach matematycznego opisu zjawisk fizycznych...

Nie traktowaną poważnie sprawę włożono do plejady „dziwnych i raczej fantastycznych”, do czasu, gdy Dirac — genialny angielski fizyk, który zdołał powiązać dwie wielkie teorie: względności i kwantów — ujawnił swoje słynne równanie, z którego wynikała już nie możliwość, a konieczność uwzględnienia istnienia ujemnych cząstek. Rok później Amerykanin Carl Anderson natknął się na ślad antyelektronu — klisza fotograficzna wyraźnie zarejestrowała parę elektron-antyelektron, która zachowywała się dokładnie tak, jak to przewidywał Dirac.

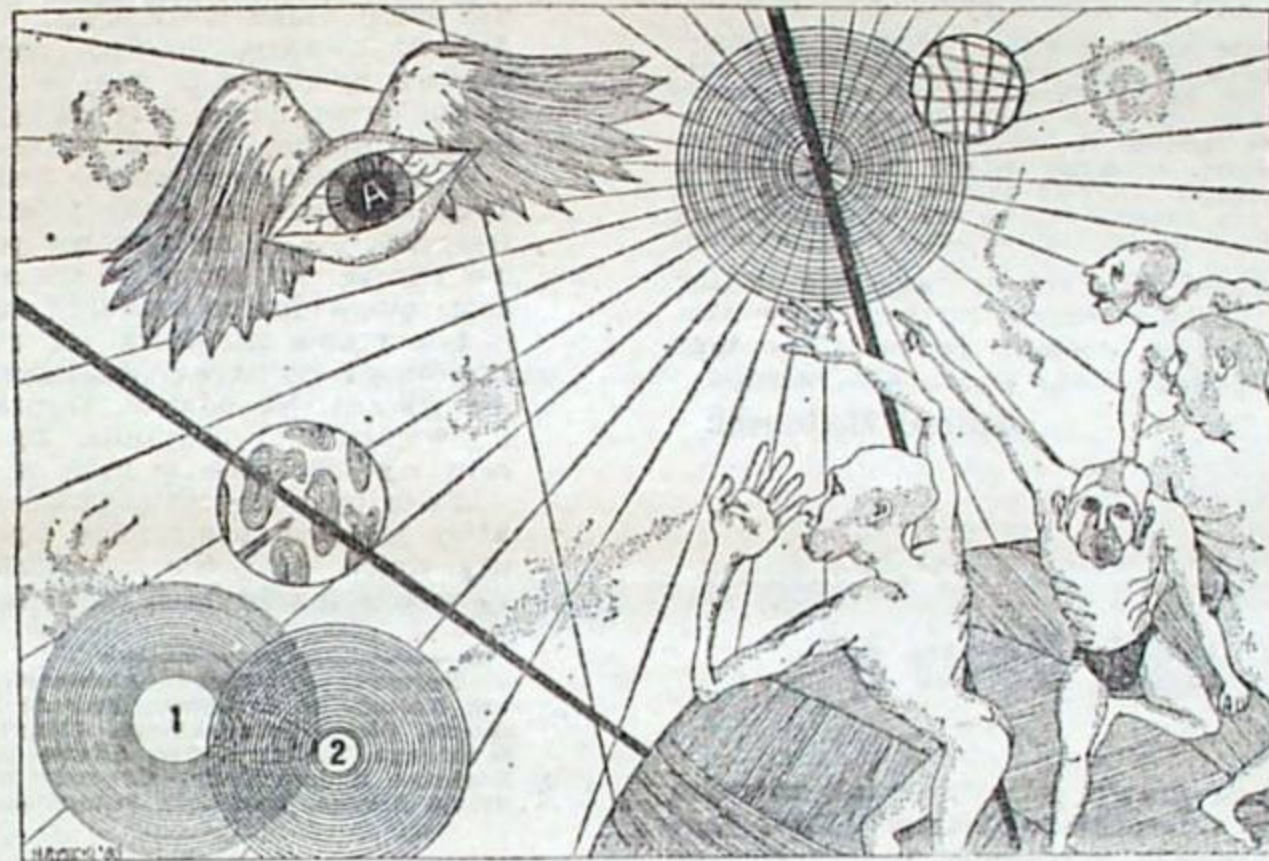
Dzisiaj wiemy, że wszystkie cząstki materialne, z wyjątkiem fotonów i mezonów, mają swoje antycząstki, a zetknięcie się cząstki i antycząstki powoduje natychmiastowe unicestwienie obu tych obiektów — antymateria w procesie anihilacji z równoważną ilością materii „spala się” bez reszty, wytwarzając absolutnie najbardziej wydajną ilość energii.

W końcu na serio uwierzone w istnienie Wszechświata Antymaterialnego, w którym cząstki miałyby odwrotny ładunek elektryczny i odwrotne właściwości magnetyczne. Równoważny ewentualnie naszemu — „Diabelski Wszechświat Antymaterii” składałby się z antygalaktyk, w których świeciłyby antygwiazdy, obieganę przez antyplanety... Powstała więc odważna i wysoce spekulatywna hipoteza, według której nasz materialny Wszechświat koegzystuje z identycznym, ale „ujemnym” Wszechświatem Antycząstek. Gdyby tak było miało w rzeczywistości, to i Ziemia, i Słońce, i wszelkie istniejące tu obiekty materialne znajdowałyby swoje antymaterialne odpowiedniki — gdzieś tam, „po drugiej stronie osi symetrii”, gdzie nawet fale elektromagnetyczne byłyby „przeciwnie naszym”.)

Jeśli nawet na niektórych z takich antymaterialnych planet żyją jakies wysoko cywilizowane Istoty Rozumne, to i tak nigdy się z nimi nie spotkamy, gdyż nie możemy bezkolizyjnie przekroczyć granic Antymaterialnego Wszechświata — tak, jak i one naszego. Wszechświat antycząstek — jeżeli takowy istnieje — byłby więc dla nas obiektem niezwykle egzotycznym i osobliwym, ale z zasadniczymi przyczyn, niestety, niepoznawalnym.

Stary porządek, porządek religijny, dostrzegając wieczność i doskonałość w rozświetlających firmament niebieski gwiazdach Mlecznej Drogi. Nowy porządek, porządek naukowy, zamienił pytanie „dlaczego?” na pytanie „jak?” — zmienił ponadczasową doskonałość na tańczący czas i udowodnił, że gwiazdy świecą nie z miłości, a z powodu syntezy termojądrowej.

Jeżeli jednak Bóg stworzył materialny Wszechświat, w którym żyjemy, to i tak nie zrozumiemy prędko Jego wielkiej pracy. Trudno bowiem oczekiwać — wnioskując z tego, co dotychczas wiemy — by Wszechświat, w którym żyje coś tak diabolicznie dziwnego jak człowiek, był prosty. Nawet bowiem wyróżnione i spoufalone z nami przez swoją starożytność: przestrzeń i czas, które przez wieki całe wydawały się ludziom uczciwie normalne, teraz, odkąd zaczęliśmy przyglądać się odległym obiektom kosmicznym, nabrały całkiem nowych, niezwykle ekscentrycznych właściwości...



Rys. Mariusz Rybicki

Jeśli w bezchmurą noc spojrzymy w kierunku południowym w gwieździście niebo, zobaczymy tam z latwością ciekawy gwiazdozbiór zwany Orionem. Trzy duże gwiazdy pierwszej jasności leżące nieco ukośnie, ale dające połączyć się linią prostą, to tak zwany „pas Oriona”. Jeżeli z gwiazdy środkowej poprowadzimy prostą prostopadłą wyznaczoną przez te trzy gwiazdy, to z lewej, na ukos do góry, zobaczymy na tej prostej masywną, większą około 300 razy od naszego Słońca gwiazdę — Beteigeuze.

Jeśli natomiast przedłużymy w dół utworzoną przez pas Oriona prostą, na tym przedłużeniu zobaczymy Syriusza — gwiazdę bardzo jasną, mieniącą się wszystkimi kolorami. Należy ona do najbliższych położonych wobec Ziemi, odległa jest bowiem od nas „zaledwie” o 82 000 000 000 kilometrów. Znaczący to, że promień światła — przebiegający, jak wiemy, przestrzeń kosmiczną z prędkością 299 973 kilometrów na sekundę — który w tej właśnie chwili dobiega do naszych oczu, oderwał się od powierzchni Syriusza 9 lat temu. Oznacza to również, że gdyby w tej chwili gwiazda przestała świecić, to moglibyśmy dowiedzieć się o tym najwcześniej po upływie dopiero 9 lat. Gdyby w pobliżu Syriusza istniała jakaś rozwinięta cywilizacja techniczna, która przy użyciu specjalnych urządzeń mogłaby obserwować życie na naszej planecie, to oczywiście istoty te nie widziałyby tego, co dzieje się u nas obecnie, lecz to, co było 9 lat temu. Szybkości, z jaką rozchodzą się fale elektromagnetyczne, nie jest bowiem w stanie przekroczyć nic, kompletnie nie — żadna materia, ani żadna informacja.

Czy jest więc sens mówić, że coś teraz właśnie stało się na Syriuszu? Czy rok 1980 byłby dla Istot Rozumnych, które ewentualnie obserwują naszą planetę z okolic Syriusza, rokiem minionym, czy dopiero przyszłym? Czy zatem ma sens pojęcie jednoczesności w odniesieniu do takich odległości?

Wątpliwą pojęcie „teraźniejszy” ujawniła dopiero szczególna teoria względności Einsteina, która wykazała, że równoczesność jest względna. Nie ma bowiem żadnej „uniwersalnej chwili obecnej”, gdyż dwa zdarzenia oddalone od siebie mogą być, zgodnie z tą teorią, jednoczesnymi dla jednego obserwatora, a następującymi po sobie — dla innego. W rzeczywistości, nawet czasowa kolejność takich zdarzeń jest względna.

Patrzniemy w dal, w Kosmos jest patrzeniem w przeszłość: wszystko to, co widzimy — należy już do historii... Oglądamy więc Słońce nie takie, jakie ono jest teraz, a jakie było 8 minut temu, gdy światło, które na nim powstało, rozpoczęło swój lot na zewnątrz, m.in. w kierunku Ziemi.

Okazuje się, że możemy widzieć nadal na odległość około 14 miliardów lat światła<sup>3)</sup>, czyli obserwować stan Wszechświata, w jakim znajdował się 14 miliardów lat temu. Czy jest to już absolutna granica Wszechświata, czy

też jedynie „horyzont”, dostępny naszym obecnym przyrządom obserwacyjnym? A może dalej nie widać już zupełnie niczego, gdyż po prostu nie ma tam nic takiego, co można byłoby zobaczyć...

Wzemy balonik, nadmuchaemy go trochę i kolorowym flamastrem nanieśmy na jego powierzchnię kilka punktów. Nadmuchając balonik jeszcze wyraźniej zauważymy, że owe punkty oddalają się od siebie — tym szybciej, im znajdują się w dalszej odległości. Z punktu widzenia każdej kropki wszystkie inne będą widziane jako oddalające się: bliższe wolniej, bardziej odległe — szybciej.

W 1929 roku dwaj astronomowie, Edwin Hubble i Milton Humanson, wykazali — mierząc odległości w reprezentatywnej grupie galaktyk i porównując mierzone odległości z przesunięciami ku czerwieni — że istnieje wyraźna relacja między prędkością obiektu, a jego odległością od Ziemi: im obiekt bliższy, tym wolniej oddala się. W oparciu o takie obserwacje obaj uczeni wynioskowali, że Wszechświat prawdopodobnie rozszerza się, gdyż wszystkie galaktyki wzajemnie od siebie „uciekają”. Allan Sandage z Carnegie Institution of Washington at Pasadena porównał znaczenie naukowe tych rewelacji do odkrycia Kopernika; Polak usunął Ziemię z centrum Wszechświata, a Hubble i Humanson rozszerzyli granice Wszechświata od Naszej Galaktyki do kresu czasu.

Rozszerzanie się Wszechświata charakteryzowane jest przez tak zwaną „stałą Hubble’a” — liczbę, która zamienia przesunięcie ku czerwieni na odległość, a przez to i na wiek. Wynikająca z tej stałej skala czasowa wynosi 15 miliardów lat. Oznaczałoby to, że około 15 miliardów lat temu stało się coś takiego, co prawdopodobnie spowodowało aktualnie obserwowaną ekspansję Wszechświata.

Według dominującej części naszych współczesnych danych, historia Wszechświata rozpoczęła się od przepięknie-

go wybuchu wielkiej ilości masy, usytuowanej w bardzo małym obszarze. Jak się przypuszcza, temperatura powstała w wyniku tej eksplozji mogła osiągnąć wartość nawet 10 miliardów stopni.

Obecnie natomiast — miliardy lat później — temperatura ta powinna obniżyć się do około 3° powyżej zera absolutnego, dochodząc równomiernie ze wszystkich kierunków. Istnienie takiego promieniowania przewidział w roku 1960 amerykański fizyk George Gamow, a już w 1965 roku dwaj inżynierowie znanej firmy telefonicznej Bella, testując nowy typ anteny, która miała pracować w międzykontynentalnej łączności satelitarnej, odkryli przypadkowo przewidziane przez Gamowa promieniowanie<sup>4)</sup>.

Udowodnione istnienie promieniowania tak zwanego „tła kosmicznego”, świadczące o tym, że początkowe epoki Wszechświata były chaotyczne i zbliżone do stanu równowagi termodynamicznej — obaliło ostatecznie teorię kosmologiczną stanu stacjonarnego, wedle której Wszechświat istniał zawsze i zawsze był w stanie stacjonarnym, czyli że ubytek materii, w pewnej objętości powodowany ekspansją Wszechświata, kompensował by miała kreacja materii „z niczego”.

Zbierając wszystkie te przesłanki, dopuszczając przy tym zmiany niektórych liczb spowodowane na przykład spowolnieniem ekspansji Wszechświata wskutek grawitacyjnego oddziaływania zawartej w nim materii — szacuje się wiek Wszechświata na 20 miliardów lat<sup>5)</sup>. W około 3—4 miliardy lat po kreacji powstały już prawdopodobnie pierwsze galaktyki...

Przed 1915 rokiem fizycy uważali, że przestrzeń to arena, na której ciała materialne rozgrywają swój dramat. W tym właśnie roku Einstein opublikował swoją rewolucyjną propozycję: przestrzeń — twierdził stanowczo — nie jest bynajmniej tłem dramatu, lecz jednym z aktorów. Podobnie jak i materia, może ona ciągle poruszać się i zmieniać kształt, a jej zakrzywienie jest przez nas odbierane jako siła przyciągania. Jedną z dramatycznych demonstracji tej koncepcji stanowi fakt, że cały Wszechświat rozszerza się powodując wszędzie rozciąganie się przestrzeni, jak elastycznej warstwy.

Awans czasoprzestrzeni — ze statycznego tła, do dynamicznego systemu, uzupełnionego prawami ruchu — otworzył zdumiewającą perspektywę, której implikacje dopiero ostatnio zostały zrozumiane.

Jeśli czasoprzestrzeń żyje i zmienia się, to czy mogłaby ona, jak i inne układy fizyczne, ulec śmierci, czy mogłaby się skończyć?!

(cdn.)

<sup>1)</sup> Przeprowadza się naukowe eksperymenty, których zadaniem jest dowiedzenie istnienia odwróconych w czasie fal elektromagnetycznych.

<sup>2)</sup> Mieszkańcy w Afryce Zachodniej prymitywny plemię Dogonów opowiada, że ich przodkowie zostali przywiezieni na Ziemię z planety znajdującej się w pobliżu Syriusza... Nie byłoby w tym może nie specjalnie ekscytującego, gdyby nie wiele zastanawiający fakt, że Dogonowie podają na temat Syriusza również i takie informacje, jakie można pozyskać tylko przy użyciu nowoczesnych teleskopów, o których istnieniu ten prymitywny szczep nigdy nawet nie słyszał! Jak dotąd, nikt nie zdołał podać przekonującego wyjaśnienia, w jaki sposób Dogonowie mogli pozyskać tego typu informacje oraz kto i w jakim celu mógł je im przekazać.

<sup>3)</sup> Albert Einstein oceniał zgrubnie promień Wszechświata na 320 000 000 000 000 000 000 kilometrów.

<sup>4)</sup> Odkrycie to było z pewnością jednym z najbardziej domostych, przypadkowych odkryć naszego stulecia. Zostało ono uhonorowane Nagrodą Nobla, którą otrzymali Arno A. Penzias i Robert W. Wilson.

<sup>5)</sup> Oceny dotyczące wieku Wszechświata z natury rzeczy nie mogą być zbyt precyzyjne. Do niedawna — dość powszechnie spotykana w literaturze fachowej wielkość tego wieku szacowana była na 16 miliardów lat. Jednakże doświadczenia fizyków z Instytutu E. Fermiego w Chicago, D. N. Schramma i K. L. Heinebacha — którzy przy oszacowaniu wieku Wszechświata posłużyli się wyjątkowo długowiecznym izotopem renu — 187 Re, o półokresie rozpadu aż 49 miliardów lat — wskazują, że Wszechświat jest jednak starszy, niż nam się dotąd wydawało.

## Czy warto pisać wiersze w Chełmie?

**T**AK, odpowiem bez wahania — warto. Ale czy warto je wydawać, szybko wydawać? Tu już odpowiedź jest trudniejsza, a problem złożony. Przynajmniej, że już pierwsze zdanie wstępu L. J. Okoń — skądinąd autora popularnej trylogii indiańskiej dla młodzieńcy — do antologii chełmskiej przeczytałem z przerażeniem (pomijam już nawet jego dość anachroniczną poetykę gazetowych truizmów): „Powszechność oświaty powoduje, że ogólny poziom intelektualny polskiego społeczeństwa jest wysoki”. Czy to ma uzasadnić twórczy zapal młodego pokolenia regionu? Czy na pewno tak jest w rzeczywistości? Tymczasem, jak czytamy dalej we wstępie, region ów ma znakomite tradycje (i to jest prawdą) z czasów, kiedy owa oświata nie była jeszcze tak powszechna. Myślę, jednak, że zdanie to w sposób niezamierzony zdradza pewien styl myślenia o tzw. twórczości prowincjonalnej. Otóż w jakimś stopniu utożsamia się ją z działalnością kulturalno-oświatową. I to jest nie do przyjęcia.

Moją tezę potwierdza poziom wierszy zamieszczonych w antologii. Właściwie należałoby mówić o poziomie tej publikacji. Chodzi bowiem o to, że jako całość zbiór wierszy chełmskich jest nijaki. Trudno dostrzec coś, co uzasadniałoby łączne wydanie tych utworów. Oczywiście jedynie wspólnota geograficzno-personalna. Antologia nie może jednak być regionalnym rejestrem. Regionalizm zakłada — nie zawsze jest to uświadomiane — także pewien określony zespół cech wyróżniających daną wspólnotę, jej specyfikę artystyczną, kulturową itp. Natomiast w tym przypadku mamy do czynienia z wydawnictwem, do którego każdy włączył zawartość swojej szuflady, nie uświadomiacz sobie, że działa na własną szkodę. A może lepiej dopracować się, dojdź do momentu, w którym wyda się swój własny tomik? Pospieszne wydawanie twórczości amatorskiej w almanachu to — rzecz by można tylko „kulturalno-oświatowy” gest, który tytułem i miejscem wydania wskazuje na region, ale nie nie mówi — a w dobrej antologii regionalnej powinien — o określonym typie wyobraźni: wileńskiej, lubelskiej, chełmskiej (a śmiem twierdzić, że istniały takie) — inaczej nie ma sensu łączyć się w obrębie antologii. Powiem więcej — czasem głębszy sens istnieje w powstawaniu antologii dojrzałych poetów regionu, niż debiutantów. Antologie nie powinny spełniać roli edycji zwyczajowo-charytatywnych.

Trzeba jednak, gwoli sprawiedliwości, wskazać kilku poetów (raczej — wierszy), którzy dają się zauważyć. Pierwszy to E.F. Cimek. W jego wierszach jest pewne zdyscyplinowanie i kilka ciekawych metafor. Da się tu wyluskać trochę dobrych wersów (choćby wiersz zaczynający się „Jest taka chwila...”). Zatrzymuje uwagę zgrabny, lapidarny (umiał „zagospodarować” słowa, nie ma żadnego zbędnego) utwór W. Cichosza („Gdy wszystko zaczyna się...”), a także prosty, dowcipny wiersz B.S. Stefanika („Prośba grzesznika”). A reszta? Najbardziej irytująca jest owa kobieca minoderia (ś la M. Hillar) naszych chełmskich poetek (jedna np. zwraca się, że trudno być kobietą. Nie wątpię proszę Pani, ale w Pani wierszu nie z tej błyskotliwej mowy nie wynika).

Czy warto więc pisać wiersze w Chełmie? W każdym razie nie należy spieszyć się z ich publikacją. Zanim to nastąpi, dobrze by było, aby ktoś zwrócił uwagę (może właśnie L.J. Okoń) tym poetom, że metafora typu „czarny bukiet snów”, „pożar róż”, „chleb poezji” to są proste — kicz.

Antoni Bednarek

(Strofy nadziel. Chełm 1982).

## Alert poetycki nad Narwą

**A**Z chce się krzyknąć: „Bacność, na prawo patrz!”, w tak równym szeregu ustawili się poeci z Klubu Literackiego „Narew”. Szesć jednakowego formatu i rozmiaru zeszycików wydanych w Ostrołęce w roku 1982. Uniform zresztą dotyczy nie tylko ubrania. Te wiersze są tak do siebie podobne, jakby nie pisali ich różni ludzie, lecz powstały jako funkcja miejsca, które jest, przeciwieństwo jedno. Co zresztą nie powoduje zarzutu i w ogóle nie stanowi sposobności do stwierdzenia kwalifikacyjnego.

Natomiast zastanowić się można nad czym innym: tak zbiorowe wejście na scenę jest świadectwem próżności organizacyjnej zespołu, czy manewrem taktycznym obliczonym na osiągnięcie powodzenia przez ilość zaangażowanych sił? To prawda, że taki występ ma coś infantylnego, bo jest podobny do zbiórki harcerskiej, ale pokonać barierę druku jest dziś tak trudno, że zamiar zespołowego działania nasuwa się w sposób natrętny. Niezależnie od tego powstaje kwestia: publikacja jest prezentacją przypadkowo podobnych, ale rzeczywistych indywidualności, czy wyrazem środowiskowego, a dla uzyskania argumentu na rzecz druku wyrażonego mimetyzmu? „My” to więcej, niż „ja”, ale czy w poezji również?

Tonacja tych wierszy to spokojne, z rzadka unerwione przyciszonym tragiczmem przyjmowanie nastrojów, które przynosi obcowanie z życiem małego miasteczka. Może jest tu trochę prowincjonalnego resentymentu, może coś — na złość, w odruchu „antymetropolitarny” ironii — ze skłonności do pustelnictwa, ale również i przede wszystkim refleksja podrzucona przez ten zwolniony, nie wymagający pośpiechu rytm życia: o przemijaniu, o starości, o śmierci.

Trzeba jednak powiedzieć, że są to tematy dla wiersza bardzo niebezpieczne. Niech no tylko na wokandy wejdzie prawda i powaga wyżej wymienionych spraw, a natychmiast opada walor słowa, bo wydaje się, że wystarczająco przemawiają one same, a ponadto nie wypadają dodawać formalnych „pięknośtek” do ontologicznej konstatacji. W praktyce więc zostaje — co? — banal, niezależnie od rezonansu, jaki w każdym Czytelniku wywołuje skarga, melancholia, gorycz. Napisać o śmierci, ale tak, żeby to był rzeczywisty wiersz, a więc wyższość słowa nad świadomością tragicznej sytuacji — bądźmy łagodni, udało się to tylko niektórym i to z najwybitniejszych poetów.

Trzeba jednak zauważyć, że te wiersze oscylują koło zdawkowości z powodów również mniej „głównych”. Możliwe, że w tych momentach dochodzi do głosu bezprezjonalna skłonność przedstawienia życia „jakim jest”, bez retorycznych upiększeń, niemniej jednak np.

MAJOWA NATURA  
to słońce  
czarne ślony zmrok  
pszczoła  
na misie cynowej

I temu podobne to rzeczywiście nie, które chce uchodzić za nie pozorne, czyli okrutną drogą do pretensjonalności wracamy. A jeśli nie o pretensjonalności, to o „oryginalności” trzeba mówić. Nie z innego ducha wyrosły takie „metafory” jak „grymsy wymuszeń żołądkowych”, „niebieskajacy teatr”, „bruk dziaśel”, czy „ceglana ścianka karku”. Autor tych zwrotów chce wywołać wrażenie: patrzcie, jak daleko poszedł, jak daleko został od wyznaczonej normy, oto mamy do czynienia z narodzinami nowego języka poetyckiego.

Więc aprobatę te teksty zyskują w miejscach, w których mowa o rzeczach prostych nie przechyla się ku nieprostym ujęciom. Wtedy jednak powstaje pytanie, z czym autorzy występują i co mają na celu: wysunąć jakieś propozycje rozwojowe dla współczesnej poezji, czy zmanifestować swoją obecność? Jest to pytanie oskarżenia pod adresem każdej poezji. I każda zostanie skazana, jeśli nie obroni się sama. Adwokatów, okoliczności łagodzących, abolicji poezja nie ma. A jeśli chodzi o osobiste odczucie (jakieś gdziekolwiek inne) niżej podpisanego, za dużo tam „naturalności”, która chce przekonać Czytelnika do „prawdy” już przez niego posiadanych. Może jednak dla lojalności zrezygnujemy z tych cudzysłowów. Ale mimo wszystko chciałoby się więcej ryzyka, więcej odwagi bycia sobą. Jeśli już zajmuje się stanowisko opozycyjne

wobec dokonań i wzorów „oficjalnej” współczesnej poezji (a ta manifestacja ma taką wymowę), niechby polemika nie odbywała się w terminach powściągliwości, która jest nie tą „świętą” Galiczyńskiego, lecz całkiem sobie codzienna, tyle tylko, że starającą się przekonać brakiem pozy. Ale utwór, który wywołuje życzenia Czytelnika, już nie odszedł z kwitkiem.

Zygmunt Mikulski

Henryk Bender: „Pólne światło”. Tadeusz Machnowski: „Za podwójną gardą”. Dionizy Malluszewski: „Przesłanie”. Czesław Parzych: „Znaki oczyszczenia”. Alfred Siemputowski: „Wyjście spod brawa”. Wojciech Woźniak: „Stacje”. Klub Literacki „Narew”, Ostrołęka 1982.

## Młodzieżowa wysypka awangardy

**Z**ASTRZEGAM się, że żadne z poniższych zdań nie zawiera sądu wartościującego. Tylko klasyfikujące.

Szesnastu autorów z Klubu Literackiego Młodych przy Wojewódzkim Domu Kultury w Zamościu wydało almanach poetycki pod tytułem „Pojmowanie słońcem”. Trzeba zareplikować: tytuł jest mylący. Sugeruje bowiem coś jak wierność naturze, prostotę, może i rezygnację z poszukiwań formalnych, nie wyrzekającą się nawet banalu, tymczasem mamy do czynienia z wierszami tak wyspecjalizowanymi awangardowo i ultranowocześnie, że kojarzyć się może Brzękowski albo Czyżewski, bo już nie Peiper ani Przyboś. Dwaj ostatni przy dwóch pierwszych to poczciwi tradycjonalisci.

Oczywiście żaden to powód do zdziwienia, raczej na odwrót: zdziwić się można by było, gdyby przyszło stwierdzić prolongację poetyki Wierzyńskiego, Słonimskiego, czy zapomnianego dziś Lieberta Pasetzka, jeśli nie jest zamierzonym chwytym stylistycznym, stanowi świadectwo nieodkrywczości. Rzecz jednak w tym, że zamojscy poeci na tyle są przejęci demontowaniem modelu poezji niegdysiejszej z jej ograniczonymi konwencjami i osłuchanymi zwrotami, iż zapominają o propozycjach pozytywnych. Oczyszczają pole, ale to pole staje się niczyje. W ten sposób tę twórczość chciałoby się nazwać polemizną. Jest wychyłona przeciw pogłosom motywów zużytych, ale jak diabeł święconej wody unika wszystkiego, co można by nazwać konwencją. Jej własną. Autorzy uważają, że skoro poprzednim konwencjom zaprzeczają, niekonsekwentnie byłoby w to miejsce wprowadzić jakąkolwiek inną. Tymczasem jest to konieczne, nawet przy maksymalnym założeniu oryginalności, a także swobody formalnej, bo inaczej wiersz nie ma indywidualności. Jest anonimem.

W wierszach tych poetów brak odmienności, cech własnych każdego autora. Tych szesnastu to jakby jeden. Ten sam sposób „zagrywki” stylistycznej u wszystkich. Czy na tym ma polegać spójność poetyckiego zespołu? Przecież nie tworzą oni grupy w znaczeniu artystycznym, a choćby nawet, to własności indywidualne każdemu się należą. Zjawisko jest nawet osobliwe. Czyżby w tym gronie znajdował się ktoś potrafiący zmajoryzować resztę swoją osobowością i stylistyką? Jeśli tak, to pogrążyć, ale korzyść pisarską z tego nie wynika. Na odwrót. Wyprawa do źródła Hipokrene jest tym ciekawsza, im więcej dróg obejmuje. To dopiero satysfakcja znaleźć się u wspólnego celu, nie idąc krok w krok w szeregu.

Warto by może też przestrzec młodych autorów przed pewnymi obsesjami, które już dają znać o sobie. Np. Piotr Czarniecki w szesćciu wierszach pięć razy użył słowa „nóż”. Nie za wiele? Ale przeliczył go Bogusław Dmytrek, który w trzech wierszach mówi sześć razy o bawolach.

Jan Radomski

Pojmowanie słońcem. Almanach Klubu Literackiego Młodych przy Wojewódzkim Domu Kultury w Zamościu. Zamość 1982. (Wiersze Bogdana Abramka, Jana Henryka Cichosza, Piotra Czarnieckiego, Zbigniewa Dmłtrocy, Bogusława Dmytrka, Krzysztofa Guzowskiego, Haliny Koper, Adama Władysława Kulika, Teresy Maluchy, Andrzeja Niściera, Dariusza Radomskiego, Edwarda Krzysztofa Rogalskiego, Radosława Sarnickiego, Andrzeja Smyka, Ireneusza Szkamruka, Teresy Wojtczak — Kordowskiej).

## Krajobrazy intymne

**T**OMASZ Skrzymowski zdaje się holdować zasadzie niemieckiego romantyków (Tiecka i Novalisa), wedle której melodyjność języka poetyckiego stawiana jest ponad jego myślową precyzję. Konstruktynne właściwości wierszy Skrzymowskiego to prostota i właśnie „muzyczność”; łączenie tonów, śpiewna rytmika oraz preferowanie tradycyjnych rytmów sprawiają, iż dominuje w utworach nostalgiczna nuta elegijna. Pojęzowanie Skrzymowskiego wyrasta i zatrzymuje się u progu spontanicznych reakcji uczuciowych; reakcji pozbawionych rozleglejszych motywacji filozoficznych, mocno natomiast osadzonych w krajobrazach intymnych. W owym kameralnym przedstawianiu spraw egzystencjalnych i eschatologicznych należałoby chyba upatrywać głównych wartości tych wierszy. Rezygnując z przesadnie ekspresyjnych obrazów i wyeksploatowanych symbolów, uzyskuje autor stonowaną relację poetycką. Proponowany sposób percepcji świata skutecznie chroni przed zawsze groźną pulapką metafizycznego bełkotu.

Podmiot liryczny utworów Wojciecha Próchniewicza, zamknięty w celi własnego kosmosu, miota się, sięgając niekiedy granic sentymentalizmu. Przyjęta metoda poetycka sprawia niekiedy wrażenie ekliwigo „liryceństwa” egzaltowanego młodzieńca — pełno tu srebrzystego deszczu, drżących płomyków i czarnej melancholii.

Tym, co łączy obu autorów, jest krąg wyborów literackich, ogniskujących się wokół szeroko pojętej prywatności. Rozedrgane — natarczywe niecierpliwością rozgorączkowanych apetytów młodości — pytania są nie tylko manifestacją światopoglądu lirycznego, ale świadczą również o jego krótkowzroczności egzystencjalnej, przemijającej przypadłości pewnego wieku. W tej niespokojnej atmosferze nie ustrzegł się autorzy typowych potknięć debiutantów: banalnych konstatacji i rozkojarzonych, żenujących metafor. („Milczenie” — T. S.; „jak skrzydła zranionego ptaka” — W. P.) oraz ewidentnych niekonsekwencji („Modlitwa” — T. S. i cykl „Impresje” — W. P.). U Skrzymowskiego razi nadużywanie rekwizytów turpistycznych (np. „Twoje życie”), a monotonna, podszyta ekliwym smuteczkiem, fraza może niekiedy nużyć. Zawartość tomiku Próchniewicza sprawia wrażenie nieporadnej przypadkowości.

Oczywiście można by się tu dopatrywać analogii czy inspiracji, ale myślę, że w przypadku tak szerepłego dorobku nie czas jeszcze na szukanie faktycznych czy tylko wyimaginowanych powinowactw i zależności. Zwróćmy zatem uwagę jedynie na odległe paralele iwaskiewiczowskie (Skrzymowski) i częchowiczowskie (Próchniewicz).

Miejmy nadzieję, że — zainaugurowana resztytami poetyckimi T. Skrzymowskiego i W. Próchniewicza — Studencka Witryna Poetycka, pomyslna jako oficyna wydawnicza Klubu Poetyckiego, działającego przy ZW SZSP w Lublinie, wyróżniać się będzie pozytywnie z masy beznadziejnej przeciętności, czy wręcz grafomanstwa firmowanego przez zadziwiająco bezkrytycznych wydawców nieprofesjonalnych.

Marek T. Barański

Tomaz Skrzymowski: Kształt zmierzchu. Studencka Witryna Poetycka. Lublin 1981.  
Wojciech Próchniewicz: Ostatnia impresja. Studencka Witryna Poetycka 1982. SZSP Lublin.

Tomaz Skrzymowski: Ci się ze mną stało. Centrum Kultury i Sztuki Województwa Niemieckiego, 1982.

a my tacy maleńcy  
bopowie  
coraz częściej  
chodzimy do lasów  
na polanach paść czyjeś konie

a w porze bicia dzwonów  
otwieramy najstarsze okna pamięci  
siadamy na swoich progach  
oczekując na przyjście  
z padania deszczu Kogoś

a my tacy maleńcy  
ludzie  
coraz częściej szukamy siebie człowieka  
nie wierząc w drogowskazy

a my tacy maleńcy jeszcze  
i zatosze

rankiem  
nie ufam drzewom  
ręcznikowi  
szklance  
dotyk zastępuje oczy  
tylko fotel  
przyjazny  
idzie do mnie  
na ośmiu nogach  
powoli  
oblaskawiam  
dwoistość kształtów  
odmieniam  
w czasie i przestrzeni  
słowo BYC  
to pomaga  
uporządkować  
dopełnić  
przecież  
tyle jeszcze  
do wieczora  
wiosny

## Anna Kasica

zasypane śniegiem  
drogi do rajów  
zastygłe do sopli  
iż  
i kolory spojrzeń  
matowe jak mgła  
tylko głos  
brzmi mocniej  
donośniej  
ale nie ma o czym  
mówić

## Edward F. Cimek

Pamięć wygasa  
jak ogień  
aż do ciszy  
zastygłej głęboko  
śląd ostatni  
przygniotło milczenie  
pojednaniu wycieka  
z bezszelustej pełni  
nieodmówione słowa  
odliczają wieczność  
tak krótko idziesz  
tak krótko

## WSPINACZKA

przyłapałem cię tułaczku  
obok syzyfowej góry  
która trzyma przy życiu  
zastawilesz wymarzoną kość  
w pułapce szczytu  
i gnasz z tobołkiem do nieba  
póki nie dopadnie cię powrotny kamień  
i pokuta posłuszna wszystkim razem  
zapomnij o przyjęciu  
choć masz ochotę  
wykrzyknąć wszystko w ziemię  
i zastawie się na rogach ulic

rodzisz  
z pierśi karmione słowa  
dniami nocami idą  
do słowizny zmęczenia  
rozbiegasz się do snu  
odchodząc młodo  
i noce ścierając z czasem

## Henryk Radej

słowo moje kochane  
słowo okaleczone  
przetracone  
nieostrym językiem  
jakim ja ci ojem  
albo matką jaką  
kiedy mi się rodzi  
na ściśniętej strunie  
i kiedy zatrzęsiesz  
nieposłuszną szczęką  
wtedy zrywam się myślą  
by zabiec ci drogę  
odpuszczenia wołam  
i tak zmuszony  
jestem  
aby zagrać blazna  
pośród oratorów

Wiersze grupy literackiej „Słowo”, istniejącej od paru lat przy Krasnostawskim Domu Kultury.

## Waldemar J. Morell

## MGNIEŃIE IV

Oto drzewo odarte z kory bez gałęzi  
bez listowia pachnącego wiatrem  
bez nasion szybujących w powietrzu  
jak bezdomne ptaki  
oto drzewo z którego można zrobić stół  
i trumnę  
nie zazielenią się łąki spełniło się  
co miało być i na ostatniej rogatce  
oddasz bilet już nie ważny  
staniesz się przestrzenią  
pamięcią  
i tylko ziemia jeszcze coś będzie  
znaczyć

## Trzeba złagodzić kryteria?

## Henryk Pająk

G DY dziewięć lat temu dokonano się rozbić dzielnicowe Polski na 49 województw i gdy dotychczasowe budynki władz powiatowych pospiesznie przysposabiano do rangi wojewódzkiej — wzbogacając je o kafełki, boazerie i wyciszające obicia — wówczas niektórzy powiatowi działacze kultury zacierali ręce: teraz się zacznie, jesteśmy województwem. Będą dotacje, nowi ludzie, kina, może teatr, sale koncertowe.

To pewna, że rzeczywistość przeszła oczekiwania. Nie tylko oczekiwania regionalistów i tzw. animatorów kultury z dziesiątków miast powiatowych zdegradowanych do rangi miasto-gmin. Przeszła również oczekiwania ludzi z nobilitowanych województw: możliwości okazały się zbyt kuse w stosunku do oczekiwań i ambicji. Rzeczywistość powiatowa trwała nadal, ta sama albo jeszcze gorsza. W przedstawianiu życia na miarę wojewódzką, kulturze i jej potrzebom kazano czekać na końcu potrzeb. Wszystkie z nich stały się priorytetowe, zwłaszcza po 1976 roku, gdy nawet priorytety zaczęły przysmierać głodem. I nie zmieniano tego obrazu ekstrawagancje niektórych władz wojewódzkich. Jak np. łomżyńskich, które uparły się, że założą osiedle mieszkaniowe dla literatów z całej Polski i będą miały największą ilość pisarzy na głowę mieszkańca województwa. Nawet paru dało się skusić: ale białopy kłeciono im tak tandetnie, z takimi oporami, że pozyskali już pisarzy machniętą ręką i wrócili tam, skąd przyszyli. Łomża nadal nie ma oddziału ZLP.

Czy nowe miasto wojewódzkie stało się nową strefą przyciągania ludzi-kultury? Ludzi pióra, pędzla, dźwięku, partytury i czego tam jeszcze?

To retoryczne raczej, pytanie postawiłem klanowi Okoniów w Chełmie: Zbigniewowi — dyrektorowi Wojewódzkiego Domu Kultury oraz Longinowi Janowi — literatowi z dorobkiem kilkunastu książek, który oprócz pracy pisarskiej, dyrektorowania w zespole szkół zawodowych, ma jeszcze czas, siły i ochotę na pracę społeczną w Towarzystwie Miłośników Ziemi Chełmskiej. Właściwie to miał, bo dyrektorowanie właśnie otrząsnął z siebie, uchodząc na „wcześniejszą” emeryturę. Zbigniew zwraca się do Longina per „wuj”, mamy więc do czynienia z klanem rodzinnym Ojcem chrzestnym jest Longin. Dziś zmęczony: cały dzień oprowadzał ekipę tv z Krakowa; zbliża się 22 Lipca Gmach PKWN dał Chełmowi wiele, jeśli nie wszystko, a już z pewnością rekomendację na województwo. Kiedyś, przed wojną, te ziemie nazywało się Ziemią Chełmską. Gdy w 1959 roku zakładali Towarzystwo Miłośników Ziemi Chełmskiej wiedzieli, że Chełmszczyzna wystaje znacznie poza granice powiatu i tę tradycję, ten fakt trzeba podtrzymywać przy życiu w sposób ciągły, nie tylko w dniach poprzedzających 22 Lipca.

Dziś obydwa Okoniowie są już podważeni pilotowaniem ekipy tv, która nie mogła nie zanotować na taśmie filmowej ani gmachu PKWN, ani mroku sławnych podziemi kredowych. Parę lat temu ekipa pomknęła również do Dorohusk, gdzie Piotr Jaroszewicz przekraczał w boju rzekę Bug, po latach obypując osadę prezentami w postaci ośrodka zdrowia, apteki, szkoły itp. Od paru lat program jest okrojony, po południu filmowcy już są w drodze do Krakowa, a my siedzimy w WDK i gaworzymy o sprawach lżejszego kalibru. O aktualnym życiu kulturalnym w Chełmie i na całej Ziemi Chełmskiej, o „Kamieniu” (piśmie, bo jest też hotel o tej nazwie), założonej 50 lat temu tu właśnie, z niczego, sumptem i energią kilku zapaleńców, głównie literatów. O „Tygodniku Chełmskim”, który — zdaniem moich rozmówców — mógłby podjąć tradycję „Kamienia”, gdyby nie traktował jak intruzów literatów, społeczników, regionalistów.

A także rozmawiamy o literatach Chełma i regionu. Z rozległych tradycji literackich Chełmszczyzny, które Towarzystwo zamierza zrekapitulować w dużej antologii, przenosimy się w dzisiejszość. Uczestniczą w rozmowie o niej dwaj młodzi poeci chełmscy: Waldemar Morell i Henryk Radej, których wiersze znalazły się w świeżo wydanym zbiorze młodych poetów chełmskich pt. „Strofy nadziei”.

Jestem po lekturze tomiku i mówię wprost: sporo tu mierzwy. Redakcja zamówiła recenzję zbiorku, krytyk go „schepał” i trudno mu odmówić racji, gdy czytał np.:

Zasnij synku zasnij  
albo mi urońnij  
noc się pochylila  
ziemię otuliła

Mielony tego rodzaju odnajdujemy także w wydanym w tym samym czasie almanachu młodych poetów. Zamoższymi, tyle że ich „Pojmowane słoncem” to już trzecia inicjatywa edytorska na rzecz młodzi literackiej województwa zamojskiego. Podobnych przedsięwzięć jest znacznie więcej w kraju: ruch ten rozwija się samoistnie i zbiorczego banku informacji o nim nie ma.

A zatem wydawać czy nie? Teraz czy później? Z ostrzejszą selekcją, czy z otwartymi ramionami dla każdego, kto tylko pisze?

Zbigniew Okon wygłasza na ten temat dłuższy monolog. Jego zdaniem, jest to stare pytanie, o sens inicjatyw wydawniczych na prowincji, przy czym obiektywizacja oceny możliwa jest dopiero po uwzględnieniu szeregu warunków. Krytyk literacki przykłada miarę merytoryczną: jeśli zbiór utworów czy indywidualny debiut „lokalny” nie dostaje poziomem do przeciętnej produkcji „Iskier” lub „Czytelnika”, to jego osąd będzie negatywny. Ale nich przyjedzie i pomieszka w Chełmie czy Zamościu. Dostrzeże liczną grupę młodzi literackiej, a także młodych plastyków, fotografików. Dostrzeże twórczość ludową. Wszyscy ci młodzi chcą się pokazać, chcą drukować, chcą się spotykać ze sobą i ewentualnymi słuchaczami. Wtedy na pewno zrozumie, że trzeba złagodzić kryteria, jak zresztą wszędzie wobec wszystkiego, co dopiero wstępuje i rozwija się. Trzeba, krótko mówiąc, wydawać. Wtedy też dostrzeże, jak ogromną siłę integrującą, a zarazem inspiracyjną dla środowiska ma taka debiutancka pozycja książkowa. Ile się o niej mówi w środowisku. Jak się ją przeżywa.

Przerywa mu Longin J. Okon.

— Od przeszło 20 lat tkwię w ruchu wydawniczym na rzecz naszej regionalnej twórczości literackiej, w tym również ludowej, i każda inicjatywa potwierdza te dodatnie strony, o których wspomina Zbyszek Gderliwe recenzje w prasie są z nawiązką równoważone przez oceny pozytywne, obiektywizujące wszystkie okoliczności wydania. I to skłania nas do dalszych inicjatyw. Wśród najbliższych zamierzeń znajdują się m.in. dwie antologie — poezji profesjonalnej od 1918 r. do dziś oraz antologia poezji ludowej. W zbiorach tych znajdują się także reprodukcje grafiki chełmskiej oraz rzeźby i malarstwa prymitywistów — czyli twórców ludowych. W dalszej kolejności widzimy książkowe portrety literackie zasłużonych twórców kultury związanych z Ziemią Chełmską. Mrozowskiego, KAJA, Szczawieja, Hołyszowej i innych. Będą albumy Scibiora, Mroczyki, Grosmana.

— To wszystko — wtrącam — dzieje się pomiędzy profesjonalnym Wydawnictwem Lubelskim, a także profesjonalnym lokalnym „Tygodnikiem Chełmskim”. Czy to oznacza, że wypełniacie w ten sposób jakąś lukę, której nie widzą lub nie chcą wypełniać tamte „publikatory”?

Tym pytaniem rozpętuje dyskusję o tym, jak daleko mają miejscowi literaci do redakcji „Tygodnika Chełmskiego”; że drukuje z łaski, z przerwami, na zasadzie łatania dziur na kolumnach, że nie chce wierszy, tylko bieżącą publicystykę, że redaktorzy często się zmieniają i z każdym nowym trzeba od nowa nawiązywać stosunki dyplomatyczne. Chętnie bym posłuchał strony przeciwnej, bo skądinąd wiadomo, że redakcje na takie zarzuty mają stałą odpowiedź: ależ jakże to, czekamy na teksty, proszę popatrzeć — szuflady są puste!

Do rozmowy wtrącają się młodzi. Henryk Radej, młody polonista stwierdza, że ma w „Tygodniku” w miarę stały felieton, który zawsze mu „idzie”. Oczywiście, publikuje pod pseudonimem. Waldemar Morell z kolei jest obrażony na Wydawnictwo Lubelskie: w 1972 roku opublikowało jego debiutancki tom wierszy. Po kilku latach wysłał tękę z nowym zbiorem. Wydawnictwo odesłało, wykrcząc się zamkniętym planem, brakiem mocy itp. Odtąd jest obrażony. Nie drukuje. Pisze do szuflady. Do antologii chełmskiej dał wiersze, bo inicjatorzy almanachu potraktowali go poważnie.

Henryk Radej dorzuca do tego swoje żale i opory, które spowodowały, że zamknął się w poetyckiej wieży z kości słoniowej. Wygrywał konkursy poetyckie, dostawał wyróżnienia, ale nie znalazł uznania organizatorów serii poetyckiej młodych w Lublinie. Od tego czasu nigdzie nie wysłał, a mija już 10 lat. Dopiero teraz, w „Strofach...” Na przyszły rok „Akcent” obiecuje mu publikację cyklu wierszy.

— A co ty masz z tego wszystkiego? — zwracam się na koniec do Longina. — Nie dosyć, że kupę czasu i energii zabiera twojej własnej twórczości mecenasowanie młodym, to jeszcze w „nagrode” zbierasz grymasy.

Longin uśmiecha się trochę przekornie, trochę smutnawo.

— Ktoś w końcu musi to robić, żeby na tej prowincji coś się w życiu kulturalnym działo...

— Jak to, na prowincji! — chciałem zaprzeczyć, ale się powstrzymałem — Na Ziemi Chełmskiej? W mieście PKWN, ulubionym dorocznym obiekcie prasy, radia i telewizji? Ba! Mieście, w którym założono „Kamień”. Na prowincji?

W każdym razie pytanie o siłę przyciągania miasta nowo wojewódzkiego zostało bez odpowiedzi.

**W** KONRADZIE Bielskim siedzieli kilku różnych ludzi. Ten wysoki, masywny mężczyzna, właściciel pary wesoło patrzących błękitnych oczu, wielkiego nosa zwisającego nad grubymi, zmysłowymi wargami smakosza i potężnego brzucha, który godnie toczył przed sobą, miał coś z Franca Fiszera, pana Zagłoby i... Rzymianina. Kresowy szlachcic-facjjonista, gotów w każdej chwili do bitki i do wypitki, graniczył w nim o miedzę z epikurejczykiem, z wyznawcą filozofii Arystypa z Cyreny, mądry rzymski senator — nie gardzący wszakże uczciami u Lukullusa — szedł o lepsze ze staropolskim mężem stanu, u którego „kanclerska głowa”. Z zawodu był „Kondzio” adwokatem, specjalistą od spraw karnych, a z powołania i życiowej kondycji — poetą.

Adolf Rudnicki tak pisał w jednym ze swych kazimierskich wspomnień o Bielskim: „Kondzio, który zawsze budzi we mnie żal, iż znałem tak mało „starych Polaków”; gęba spaniela, laska z leszczyzny lub dębu; wyjeżdżając z Kazimierza zostawia ją w pensjonacie, a sięga po nią natychmiast po powrocie; spodnie według mody sprzed pół wieku; żarłok, który gotów pojechać do Pińczowa na raki (aby się przekonać, iż wnukiowie nie mają pojęcia, z czego słygnął dawny Pińczów), który gdy w „Bristolu” zasiadł do obiadu o godzinie trzeciej, skończy o dziewiątej i uda się wprost do pociągu lubelskiego; gaduła, który rozsiewa perły; poeta; przyjaciel ludzi, odwrotność samotnika czy mizantropa; łacinnik; świetne pióro w prozie (dał cudowną książkę o Lublinie „Most nad czasem”), mój długoletni towarzysz włóczęgi po kazimierskich szlakach, któremu nie mogę darować, iż nie spisuje tego, co opowiada, nie mogę też darować tym młodym głupcom, którzy obojętnie przechodzą obok zła.”

Konrad Bielski napisał w życiu niewiele. Zapowiadający się w młodości na doskonałego poetę, przyjaciel Józefa Czechowicza, współzałożyciel lubelskich awangardowych pism literackich, „Lucifera” i „Reflektora”, autor „Dytyrambu szatańskiego”, wiersza, który w swoim czasie narobił wiele zamętu nie tylko w Lublinie, autor nie mniej „obrazoburczego” co „Dytyramb” stwierdzenia na łamach „Reflektora”: „Przekreślamy spuściznę duchową Słowackiego. Zjadaczy chleba w mordę bić, jeśli ich w aniołów przerobić nie można” — otóż ten niezwykle, szokujący młodzieńiec zламаł nagłe pióro i zagrzebał się w wielce prowincjonalnym Krasnymstawie, gdzie otworzył kancelarię adwokacką. To właśnie w owych czasach wołał tęsknie do niego Józef Czechowicz:

A witajże nam, witaj, miły Konradynie,  
a żegnij do kompanów po tym krasnym winie,  
bo wiadomo powszechnie, że w śnie czy na jawie,  
przebywasz w niedalekim Krasnym winie stawie.  
Od trunków „Kondzio” nigdy nie stronił. Przeciwnie, darzył je gorącą miłością i im to poświęcił „Odę”, w której nie tylko z kunsztem literackim lecz również ze znawstwem smakosza omawia różne rodzaje alkoholi i przeżycia związane z ich spożywaniem.

Do pisania wrócił Bielski dopiero w dwadzieścia lat później, już w czasach powojennych, w Lublinie. Pierwszy tomik poetycki wydał, gdy liczył lat pięćdziesiąt. Następnie ukazały się dwa czy trzy tomiki zawierające wiersze napisane przed wojną. W 1963 r. wyszła wspomnieniowa książka „Most nad czasem” o lubelskim środowisku artystycznym lat dwudziestych, za nią — tomik wspomnień „Spotkania z Kazimierzem” i wreszcie, niedługo przed śmiercią autora, „Tajemnica kawiarni „U Aktorów” — książka powstała w oparciu o doświadczenia i wspomnienia prawnika-adwokata.

„Kondzio” należał do tego gatunku pisarzy, którzy nie tyle przelewają swe myśli na papier, co rozciągają wokół siebie jakąś niezwykłą, niepowtarzalną aurę literacką, wpływającą w sposób ożywczy i stymulujący na całe środowisko artystyczne. I słusznie pisała Ewa Łoś w katalogu wystawy zorganizowanej w dziesięciolecie śmierci Konrada Bielskiego przez Muzeum J. Czechowicza w Lublinie: „Autorytet, jakim pisarz cieszył się w środowisku, nie był [...] prostą pochodną obfitości i wagi dorobku. Wypływał raczej z jego działalności pozaliterackiej, a po części i wiążącej się z nim tradycji, której sam był niegdyś współtwórcą. [...] Bez gawędziarskich wspomnień i młodzieńczych uniesień poetyckich Konrada Bielskiego lubelska literatura i kultura byłyby znacznie uboższe — o wiedzę o niepowtarzalnym klimacie Lublina lat międzywojennych”.

Kiedy ja zadamowilem się w „Kamenie”, Konrad Bielski zbliżał się już wielkimi krokami do wieku emerytalnego i jedną po drugiej oddawał, młodszym od siebie, pełnione dotąd funkcje: przewodniczącego Komisji Kultury WRN, dzienka lubelskiej Rady Adwokackiej, prezesa Lubelskiego Oddziału ZLP. Tkwił natomiast nadal i aktywnie działał w radzie programowo-wydawniczej Wydawnictwa Lubelskiego, do którego powstania przyłożył rękę jeszcze w połowie lat pięćdziesiątych. Nie brał już tak wielu, jak dawniej, spraw w zespole adwokackim. Albo też cedował je chętnie na aplikujących u niego młodych, zdolnych prawników. Teraz zajmowało go głównie pisanie „Mostu nad czasem”, którego obszerne fragmenty ukazywały się w kolejnych numerach „Kamenu”.

Oddawał się również z lubością redakcyjnemu życiu towarzyskiemu, które w owych latach krzewiło się bujnie w starym lokalu naszego pisma, przy ul. Granicznej 7. Na wspólnie i gromadnie obchodzonych imieninach, uroczniskach i bibkach gastronomiczno-alkoholowych, których przygotowaniem zajmowała się sekretarka, nieoceniona Ołga Gajewska, „Kondzio” rozkwitał jak krzak piwonii, sygnac wokoło perłami dowcipu, recytując wiersze poetów polskich, rosyjskich i łacińskich, postępując się równie łatwo językiem znad Wisły, jak i tym znad Wolgi czy znad Tybru. Łacina nigdy nie była w ustach „Kondzia”

językiem „martwym”, mówił nią jakby od niechcenia, po prostu i w sposób oczywisty. Również we wznoszeniu toastów, a następnie — gdy już się wszystkim ze łbów nieźle kurzyło — w opowiadaniu „męskich” dowcipów, „Kondzio” niepodzielnie „brał pierwsze miejsce za stołem”. Rzecz ciekawa: nawet najbardziej pieprzne kawały i nieprawdopodobne w swej dosadności „parafrazy” wierszy Puszczyńskiego lub Lermontowa w ustach Bielskiego nie brzmiały wulgarnie. Zachwycały dobitnością, celnością metafor, wczuciem się w „ducha” języka, w specyfikę narodową i kontekst obyczajowy. Nigdy nie powazyłbym się przytoczyć Bezynek anegdot, które snuł nasz Colas Breugnon nad kielichem wytrawnego wina, szlachetnego koniaku lub zwykłej słuchy. Po prostu, tylko Bielski potrafił takim opowiadaniem nadać bezgrzeszną świetlistość...

Natomiast trzeba koniecznie — kiedy już mowa o alkoholu — wspomnieć nieprawdopodobną, właściwie „alkoholową” przygodę, jaka przydarzyła się naszemu Prezesowi w latach wojny. Większość okupacji spędził Bielski u stryja pisarza, właściciela apteki w Kraśniku. Częściowo — w obawie przed aresztowaniem, a po trosze także dlatego, że nie mieli po prostu z czego żyć. Jednak pod koniec okupacji „Kondzio” postanowił wziąć się za interesy. Poza adwokatą i poezją znał się najbardziej na napojach wysokokowych. Toteż już wkrótce okazał się właścicielem mikroskopijnego lokaliku z wyszynkiem, usytuowanego przy ulicy Narutowicza w Lublinie i noszącego dźwięczną i wielce obiecującą nazwę „Kropelka”. Właściciel przybytku urzędował za szynkwasem, a pieczęć nad magazynem sprawowała żelazną ręką pani Bielska, jako że „Kropelce” bezustannie groziło bankru-

Ale na codzien było tak, jak napisał jeden z przyjaciół:  
Bielski gdzieś w Krasnymstawie osiedlił się pono,  
Wierszy więcej nie pisze, bo zajął się żoną.  
O nim mogłyby odwrotnie powiedzieć Mickiewicza

ustą;  
Ze zmarł w nim dawny Konrad — narodził się Gustaw.

A propos — Gustawa: „Kondzio” był bardzo silnie związany ze swoją żoną Krystyną, dawną aktorką teatru „Reduta”, popularnie określaną mianem „pani Uty”. Na starość otaczał tę schorowaną i nierzadko z tego powodu dokuczliwą kobietę najczulszą opieką; on, człowiek pełen rozsądającego go temperamentu, zachowywał wobec małżonki anielską cierpliwość. Co nie zmieniło wszak jego zwyczajów.

Okolo południa „Kondzio” wyruszał z domu na codzienny obchód. Najpierw odsiadywał przepisaną godzinę „u Rutkowskiego”, to znaczy w obecnej kawiarni „Lublinianka” przy stoliku, wokół którego grupowali się członkowie lubelskiej palestry. O pierwszej, pospując nieczym emerytowaną lokomotywą, wkraczał do redakcji „Kamenu” i opadał „ostatkiem sił” na najbliższy fotel. „No, co tam słycać nowego?” — pytał wdychając z ukontentowaniem, i w charakterystyczny dla niego sposób, porozumiewawczo mrugając powiekami. Nie czekając na odpowiedź, zaczynał sam jakąś mniej lub bardziej niezwykłą opowieść...

## ŚRODOWISKO LUBELSKIE (12)

# „Kondzio”

Mirosław Derecki

ctwo: małżonek zwykły był serwować trunki swym licznym przyjaciołom — gratisowo.

„Pewnego jesiennego wieczoru, tuż przed godziną policyjną — opowiadał nam „Kondzio” — wkroczyło do „Kropelki” dwóch umundurowanych Niemców. Zona już wyszła, zostałem sam na gospodarstwie, niedługo miałem zamykać. Tymczasem ci dwaj, wypiliwszy jedną butelkę, rozochocili się na dobre i zażądali drugiej, a potem trzeciej. Co gorsza, z pijackim uporem przycepił się do mnie, żebym pił razem z nimi. Wykręcałem się, jak mogłem: przecie z hitlerowcami wódki do ust nie wezmę. Sytuacja zaczynała być groźna. Widziałem, że pijani żołnierze zaczynają się domyślać prawdy. Jeszcze chwila i powędruję, być może, razem z nimi na gestapo. „Pan nie chce z nami pić, bo pan nienawidzi naszego munduru!” — powiedział wreszcie jeden z nich. Ja zaś poczułem, że mi się jeżą włosy na głowie. „No, to nie ma problemu!” — zawołał nagle odkrywco drugi Niemiec. I raptem, jak na komendę, obydwoj zebrał się „do rosolu”! Do golego! „A teraz — wypije pan z nami?” — Cóż mogłem uczynić w takiej sytuacji?”

Tę przygodę opisał najbliższy przyjaciel Konrada Bielskiego, Wacław Gralewski, w książce „Bieg po krawędzi”.

Przyjaźń „Kondzia” z „Wacim” przetrwała kilkadziesiąt lat, choć pod koniec życia ich wzajemne stosunki uległy, z różnych względów, pewnemu ochłodzeniu. Poznali się jeszcze w latach szkolnych. Bielski uczęszczał do Gimnazjum im. Staszica w Lublinie, a Gralewski do „Zamojskiego”. Zbliżyła ich przede wszystkim miłość do poezji, wspólny pociąg do napojów o niewielkiej procentowo zawartości wody, namilność do biesiadowania i dyskutowania oraz obopólne predyspozycje gawędziarskie. Choć gawędziarstwo „Wacia” było bardziej „demonicznej” natury, a „Kondzio” był opowiadaczem serdecznym, dobrotliwym i „pogodzonym ze światem”. W ogóle zresztą różnił się między sobą bardzo i z wyglądu zewnętrznego, i z usposobienia. Poza tym Gralewski wywodził się z proletariatu, Bielski natomiast był typowym spadkobiercą tradycji zubożającego kresowego ziemiaństwa. Pierwszy urodził się w Lublinie, drugi przybył tutaj z rodziną ze wschodu, „szlakiem Cezarego Baryki”, w roku 1919. „Wacio” był typem żołnierza i konspiratora, „Kondzio” nosił w swym potężnym ciele łagodną duszę pacyfisty, z wojskiem zetknął się tylko raz, w 1920 r., jako ochotnik, pełniąc służbę w 18 pułku artylerii polowej.

W tymże 1920 r. Konrad Bielski debiutował sonetami na łamach lubelskiego pisma „Młodzi”, które redagował — krótko zresztą — wspólnie z Wacławem Gralewskim i Czesławem Bobrowskim. Potem przyszły lata studiów — znowu wspólne — na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim i wspólna przygoda z „Luciferem” i „Reflektorem”. Wreszcie — współpraca z redagowanym przez „Wacia” dziennikiem „Express Lub.” gdzie Bielski zarabiał pisaniem... recenzji sportowych. Jeszcze później był wspomniany już Krasnystaw i lata bardzo spokojnego, „prowincjonalnego” życia, z częstymi — oczywiście — wypadkami do Lublina na literackie biesiadowanie w domu księdza Ludwika Zaleskiego, patrona lubelskich literatów. I z niecodziennym, burzliwym interludium w postaci uczestniczenia, w charakterze obrońcy, w procesie poety Mariana Czuchnowskiego, którego oskarżono o prowadzenie działalności podburzającej przeciwko władzy państwowej.

Latem „Kondzio” wyjeżdżał do Kazimierza, zawsze do willi „Floryda”. Nawet wówczas, gdy jej wieloletnia właścicielka umarła i skończyło się tam słynne na pół Polski, doskonale „pensjonatowe” wyżywienie. Nigdy nie zapomnę widoku „Kondzia” kroczącego powoli, z Uty u boku, przez kazimierski Rynek. Albo — zajądającego z niezwykle apetytem jajecznicę z iluś tam jaj przy stoliku w podcieniach, przed nie istniejącym już dzisiaj barem mlecznym „Miś”, prowadzonym nienagannie przez dwie siostry-bliźniaczki. Albo — cudownie miłskającego nad węgorem w galarecie na w randzie — też już nie istniejącej — kawiarenki pani Tyszkiewiczowej, gdzie grało się także w szachy i jadło świeżutkie jeżyny lub czarne jagody ze śmietaną i z cukrem.

Właśnie na w randzie u p. Tyszkiewiczowej, spoglądając marzycielsko na białe ruiny Zamku i Baszty rysujące się wysoko nad nami na tle szafirowo-farbkowego nieba, „Kondzio” rozsunął pewnego razu przede mną opowieść, zasłyszana jeszcze w latach dwudziestych od jednego starego kazimierskiego Żyda, o tym, dlaczego król Kazimierz Wielki nie miał dzieci z Esterką.

„Ny! — opowiadał ten Żyd — ny, panie mecenasie. Pan wi, król, to un mieszkał w zamku w Kazimierzcu. A Estera, una mieszkała w takim mniejszym zamku, takim całkiem małym sobie zamku, w Bochotnicy. Z Kazimierza do Bochotnicy jest sześć kilometrów. I tam się można dostać doróżką za jedne piętnaście minut. A jak kto nie ma w doróżce kulawy koń, to nawet za jedne głupie dziesięć minut. Ale król, un doróżką nie może jeździć. Un do swojej ukochanej potrzebuje koniecznie isć specjalnym podziemnym korytarzem. Bo tak wypada. Bo un jest wielki pan, wielki król, i un chodzi tylko samymi tajemnymi przejściami... Więc jak zapadał wieczór, to król Kazimierz Wielki otwierał tajemne drzwi i wchodził w tajemny korytarz, i szedł do swojej ukochanej Estery. I un szedł i szedł, i szedł i szedł, i szedł i szedł, ten król. Aż dopiero nad ranem un dochodził do Bochotnicy, gdzie w pięknej sypialni czekała na niego piękna Estera. Ale jak un się — panie mecenasie — koło niej tylko położył, to zaczął na światła. I król wiedział, że musi zaraz wstać i isć, isć, isć i isć z powrotem, tajemnym przejściem, do Kazimierza. Zeby trafić na czas do swojego wielkiego, wspaniałego zamku na śniadanie. Ny to panie mecenasie! Jak ten nasz biedny król nie, tylko musiał ciągle isć, isć, i isć, nie: tylko bez przerwy isć, to jak un w takim razie mógł mieć dzieci z Esterką?”

Kazimierz „Kondzia” Bielskiego, Michałaka, Kononowicza i Filipki i tyłu innych, którzy siadywali na tarasach nie istniejących już dzisiaj kawiarenek i knajpek, na murkach wokół Rynku, przy stolikach przed restauracją starego Berensa, przemianowaną po wojnie na „Esterkę”, ten tak jeszcze niedawny wakacyjny Kazimierz lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych spowija już coraz gęściejsza mgła oddalenia...

Bielscy mieszkali przy ulicy Narutowicza, na drugim piętrze kamienicy, nad apteką, dawną znaną apteką Wójcika. Wchodziło się od tyłu, od podwórza. W górę wiodły kręcące się spiralą drewniane, zużyte schody. Samo mieszkanie składało się z długiego, ciemnego korytarza, który prowadził do dwóch położonych w amfiladzie, także ciemnych, pokoi od frontu. Z kuchni i łazienki wiało lodowatym zimnem. Ale ściany tego domu były założone pod sufit książkami, fotele emanowały wygodnym, miękkim ciepłem, a przyjacielsko nastrojony go-



# MŁODZI LUBLINIANIE Z POWSTANIA WARSZAWSKIEGO

Dokończenie ze str. 1

letnich lublinian: st. strz. Eugeniusz Czyżewski (ur. 29 IX 1929 r. w Lublinie, syn Michała, nazwisko panięskie matki: Padluch), kpr. Edward Jan Wrzeszcz (ur. 7 XI 1926 r. w Lublinie, syn Bolesława, nazwisko panięskie matki: Paluda), ppor. Jerzy Kruczek (ur. 4 XI 1926 r. w Lublinie, syn Józefa, nazwisko panięskie matki: Marur) i strz. Henryk Chabrowski — „Heniek” (ur. 19 X 1926 r. we wsi Rudka Huta w pow. chełmskim, syn Kazimierza, nazwisko panięskie matki: Piórkowska) Natomiast w składzie 15 pp AK toczyło walkę z hitlerowskim okupantem dalszych czterech młodocianych lublinian: strz. Edward Felński — „Edward” (ur. 7 X 1932 r. we wsi Wólka Konopna w pow. łukowskim, syn Piotra, nazwisko panięskie matki: Kalicka), strz. Jerzy Troć (ur. 10 V 1928 r. we wsi Tarnawka w pow. hrubieszowskim, syn Antoniego, nazwisko panięskie matki: Prochowicz), st. strz. Jerzy Herde (ur. 15 IV 1928 r. we Włodawie, syn Mieczysława, nazwisko panięskie matki: Szokalska), kpr. Janusz Kulpiński — „Tatar” (ur. 16 XI 1927 r. w Lubartowie, syn Edmunda, nazwisko panięskie matki: Zienkiewicz).

Kapitulacja powstańców na Żoliborzu, gdzie m.in. walczył 21 pp AK, nastąpiła 30 IX 1944 r. o godzinie 18.15. W tym czasie w Śródmieściu, gdzie toczył boje m.in. 15 pp AK, działania zbrojne miały charakter lokalny; prowadziły je przede wszystkim zdekompletowane oddziały powstańcze Śródmieście-Północ 2 X 1944 r. upelnomocnieni: przedstawiciele Komendy Głównej AK (płk Kazimierz Iranek-Osmecki i ppłk Zygmunt Dobrowolski) podpisali w Ożarowie pod Warszawą, w kwatery pełnomocnika Himmlera ds. walki z partyzantami i dowódcy specjalnego korpusu do zwalczania powstania — obergruppenführera SS i gen. leutnanta policji Ericha von dem Bacha, akt kapitulacji. Układ kapitulacyjny gwarantował powstańcom prawa kombatanckie armii alianckich, a więc status jeńców wojennych (w myśl Konwencji Genewskiej z 27 VII 1929 r.). Wziętych do niewoli żołnierzy Powstania Warszawskiego (ok. 15 378 osób) okupant rozesał następnie do różnych obozów jenieckich na terenie ówczesnych Niemiec.

Po kapitulacji ostatniej broniącej się dzielnicy Warszawy — Śródmieście — Niemcy sformowali kolumny jenieckie, złożone m.in. z resztek 21 i 15 pp AK. Powstańcy opuścili stolicę 4 X 1944 r. i w kolumnach marszowych udali się pod eskortą Wehrmachtu do pierwszego w ich życiu jenieckiego punktu etapowego — Ożarowa pod Warszawą, gdzie w miejscowej fabryce kabli przetrzymywano ich przez okres jednego — dwóch dni. Stamtąd jeńcy transportem kolejowym zostali wywiezieni 5 i 6 października m.in. do Stalagu 344 Lamsdorf, dokąd dotarli 6 i 7 tego miesiąca.

Ogółem do Lambinowicze przywieziono 5789 żołnierzy AK: oficerów, podoficerów i szeregowych, w tym około 600 chłopców w wieku od 11 do 18 lat. Wśród tych chłopców którzy byli najmłodszymi jeńcami Wehrmachtu, znajdowało się wspomnianych wyżej ośmiu nieletnich lublinian. W dotychczasowej historii wojen nie zanotowano faktu wzięcia dzieci w obozach jenieckich i to w takiej liczbie; casus lambinowicki był więc zdarzeniem bez precedensu.

Podróż do Lambinowicze powstańcy odbywali w zakratowanych wagonach towarowych (po 80—100 osób w każdym), otrzymując minimalne racje żywności i wody. Duszne, zużyte powietrze potęgowało pragnienie oraz utrudniało oddychanie, dlatego też niektórzy młodociani powstańcy mdleli w czasie jazdy. Potrzeby fizjologiczne trzeba było z konieczności zafatwiać w wagonach (podczas postojów konwojenci nie otwierali wagonów).

Już w czasie „wyładunku” jeńców wyrzucano z wagonów, bito, kłuło bagnietami, zrywano im białe-czerwone opaski z rękawów i orzelki polskie z czapek, spychano ich kolbami z nasypanego kolejowego, używano wobec nich ordynarnych epitetów („polsische Banditen aus Warschau”), rannym odbierano laski, którymi się podpierali. Przemarszowali do oddalonego około 6 km obozu towarzyszyli wrogle okrzyki i ekscesy ze strony miejscowej młodzieży z „Hitlerjugend”. Powstańcy szli pod eskortą żołnierzy Wehrmachtu jadących na rowerach i mających przy sobie psy. Pozostających w tyle szczerło psami. Najmłodsi jeńcy (wielu z nich było rannych i chorych), wobec których niemieccy konwojenci zachowywali się brutalnie, masowo mdleli z pragnienia i wycieńczenia fizycznego. Ci, którzy mogli jeszcze iść o własnych siłach, śpiewali „Szturmówkę”. Po dotarciu do obozu, jeńców zrewidowano, zabierając im posiadane pieniądze, kosztowne rzeczy oraz dokumenty, przede wszystkim legitymacje AK. 8 X 1944 r. dokonano ewidencji nowo przybyłych i wydano im numery jenieckie (metalowe znaczki rozpoznawcze). Od tego dnia nieletni powstańcy warszawscy przestali być dla hitlerowców ludźmi, którzy posiadali imię i nazwisko. Stali się tylko numerami obozowymi.

W zachowanej do dziś niemieckiej ewidencji (listy transportowe Wehrmachtu) znajdujemy również dane wspomnianych ośmiu lublinian. St. strz. Eugeniusz Czyżewski otrzymał w obozie numer jeniecki 103173. Podał on adres M. Czyżewskiego (zapewne Michała — ojca): Warszawa, ul. Białościcka 39, którą to osobę niemiecka komendantura stalagu miała powiadomić o fakcie wzięcia go do niewoli i miejscu przetrzymywania. Z kolei ppor. Jerzy Kruczek (nr jeniecki 102374) wymienił adres L. Kruczka (brak pełnego imienia): Lublin, ul. Parkowa 6. Kpr. Edward Jan Wrzeszcz (nr jeniecki 104458) poinformował, iż o wzięciu go do niewoli miała być powiadomiona Maria Żalaska: wieś Placówka, gmina Młociny, pow. warszawski (obecnie osiedle mieszkaniowe jednej z dzielnic Warszawy — Żoliborz). Strz. Henryk Chabrowski — „Heniek” (nr jeniecki 105244) wymienił adres Chabrowskiego (brak imienia): Warszawa, ul. Żurawia 6. W rubryce dotyczącej 12-letniego strz. Edwarda Felńskiego — „Edwarda” (nr jeniecki 103230) nie ma danych na temat jego najbliższej rodziny; pisarz obozowy zanotował natomiast, iż jeniec ten był chory. Strz. Jerzy Troć (nr jeniecki 105867) wymienił dwie osoby: 1) Marię Krajewską: Strasburg, Viktoriast. 5A/2, 2) Leokadię Troć: Warszawa, ul. Franciszkańska 12/24. St. strz. Jerzy Herde (nr jeniecki 103980) podał adres Lidii Policho: Warszawa, ul. Sosnowa 12. Ostatni ze wspomnianych ośmiu kpr. Janusz Kulpiński — „Tatar” (nr jeniecki 104429) wymienił adres Komana (brak imienia): Zamość, biuro elektrowni. Należy nadmienić, iż w zachowanych źród-

łach pseudonimy, którymi posługiwali się oni zarówno w czasie walk w Powstaniu Warszawskim jak również w codziennym życiu obozowo-jenieckim, figurują tylko przy trzech nazwiskach.

Warunki bytowe w stalagu lambinowickim były niezwykle ciężkie. Nieletnich powstańców umieszczono (wraz z dorosłymi) w sektorze dla jeńców raźniek, a więc w najbardziej dokuczliwej części obozu. Dzieci i młodzież szczególnie dotkliwie odczuwały głód, zimno i plagę insektów. Niskokaloryczne i jednorodne pożywienie (ok. 600 kalorii dziennie), składające się z zryzycy z 3 ziemniaków w lupinach i pół litra zupy z palonej brukwi, około 300 g chleba (zwanego „trocinakiem”), 1 kg margaryny oraz namiastki herbaty w objętości pół litra na głowę — wywoływało wiele chorób oraz powodowało szybki spadek wagi. Chcąc wymusić poprawę pożywienia, najmłodsi żołnierze Powstania Warszawskiego urządzili na początku listopada 1944 r. dobrowolną głodówkę demonstracyjną, podczas której przez trzy dni z rzędu odsyłali z pola obozowego kotły, a właściwie drewniane kubły, z zupą z palonej brukwi — podstawowym daniem obiadu jenieckiego. Żądania małoletnich dotyczyły poprawy jakości posiłków, a przede wszystkim przydziału suchego prowiantu, z którego mogliby sami przygotowywać sobie posiłki. Strajk ten wygrali częściowo. Władze obozowe zezwoliły im na przygotowywanie z przydziałowych produktów posiłków; odtąd dania były nieco większe i lepsze, bowiem zmniejszyła się możliwość kradzieży. Ta mała poprawa nie rozwiązała jednak trudnej sytuacji żywnościowej; głód pozostał nadal największą udręką życia obozowego.

Jeńcy nie otrzymywali bielizny pościelowej, myli się w kamiennych korytach z zimną wodą, dopiero z nastaniem pierwszych chłódów wydano im po miednicy na łbę wraz z przydziałem (symbolicznym) „gliniastego” mydła. W zdewastowanych barakach było przeraźliwie zimno, a niewielkie przydziały bykietów i drewna nie wystarczały do ogrzania pomieszczeń. Jeńcy spali więc w ubraniach i płaszczach.

Szczególnie uciążliwe były wielogodzinne apele, organizowane bez względu na pogodę, podczas których bito, kopano i szczerło psami nieletnich jeńców. Swoistą formą szykan były też rewizje osobiste oraz częste przeszukiwania baraków. Po jakimś czasie młodocianych umieszczono pod opieką oficerów AK. Prawdopodobnie nastąpiło to na skutek interwencji Międzynarodowego Komitetu Czerwonego Krzyża i katerycznych żądań polskiej komendy obozu.

Nieprowadzeniem zakończyły się naciski niemieckiej komendatury stalagu lambinowickiego, zmiernające do werbunku nieletnich jeńców do pracy w gospodarstwach okolicznych chłopów; wszyscy małoletni odmówili podjęcia pracy u niemieckich gospodarzy. Akcja ta, przeprowadzana na placu apelowym, nie była pozbawiona swoistej pikanterii. Gdy jeden z gospodarzy niemieckich usiłował namówić do pracy w swoim gospodarstwie chłopca odzianego w mundur Czerwonego Krzyża, roztaczając przed nim perspektywy dobrego traktowania i lepszego wyżywienia, ów jeniec hardo wystąpił z szeregu i oświadczył, iż jest polskim żołnierzem i nie będzie pasał gęsi.

18 października 1944 r. przeprowadzono w Stalagu 344 Lamsdorf niecodzienny i niespodziewany apel, podczas którego niemieckie władze obozowe chciały wyselekcjonować młodocianych żołnierzy, jeszcze częściowo rozproszonych wśród dorosłych kolegów. Polski komendant bloku młodocianych, kpt. Wacław Zagórski — „Lech Grzybowski” wydawał komendy, po których kolejno opuszczali szeregi jeńcy poniżej 18 lat. Apel ten filmowali hitlerowcy, chcąc wykorzystać motyw dzie-

ci-żołnierzy do propagowania idei Volksturm (pospolitego ruszenia) wśród młodocianych Niemców. Gdy jednak z szeregu zaczęło występować coraz więcej 11-, 12-, 13-, 14-, 15-, 16-, 17-latków, w tym kawalerowie Krzyża Walecznych i Orderu Virtuti Militari — hitlerowców ogarnęła wściekłość i przerwali filmowanie; mieli zamiar propagować walkę nieletnich, bo palił im się już pod nogami grunt, lecz nie zamierzali rozstawić bohaterstwa i męstwa młodocianych żołnierzy Powstania Warszawskiego.

Na placu apelowym obozu lambinowickiego — wśród około 600 najmłodszych żołnierzy świata — stanęli wówczas także ośmiu chłopców rodem z Lubelskiego. Po tym apelu władze stalagu wyselekcjonowały najmłodszych jeńców Wehrmachtu i podzieliły ich na dwie grupy: do lat 15 i starszych. Dla większości z nich pobyt w Lambinowicach stanowił tylko etap przejściowy w drodze do innych obozów jenieckich położonych w głębi Niemiec i Austrii. Dzieci i młodzież do lat 18 ekspedowano transportami kolejowymi wraz z dorosłymi jeńcami AK. I tak 19 X 1944 r. dwóch nieletnich — w tym również ppor. Jerzego Kruczka — wywieziono do Oflagu VII A Murnau w Bawarii (obecnie terytorium RFN). Z kolei 21 X 1944 r. przeniesiono do Stalagu XVIII C Markt Pongau (Austria) 74 młodocianych powstańców, wśród których znajdował się strz. Henryk Chabrowski — „Heniek”. 7 XI 1944 r. skierowano do Stalagu VII A Moosburg w Bawarii grupę 20 niepełnoletnich, w której przebywał st. strz. Jerzy Herde. Do Stalagu VII B Memmingen w Bawarii wyekspedowano 7 XI 1944 r. również 20 chłopców-żołnierzy, a wraz z nimi kaprali Edwarda Jana Wrzeszcza i Janusza Kulpińskiego — „Tatara”; transport jeńców do tegoż obozu przybył 15 listopada. W grupie 249 najmłodszych jeńców wywiezionych 18 XI 1944 r. do Stalagu IV B Mühlberg w Saksonii (dziś terytorium NRD) znaleźli się: strz. Edward Felński — „Edward” i st. strz. Eugeniusz Czyżewski. Do Stalagu XIII D Nürnberg (Norymberga — obecnie w granicach RFN) przetransportowano 89 chłopców; wśród skierowanych 22 XI 1944 r. do tegoż obozu małoletnich powstańców był także strz. Jerzy Troć.

Niestety, nie wiemy nic więcej na temat dalszych losów tych ośmiu lublinian — żołnierzy AK i uczestników Powstania Warszawskiego, a po jego upadku — jeńców Wehrmachtu. Swoje obowiązki spełniali jak dorośli, i jak dorośli czekał ich ten sam los. W okresie pobytu w niewoli niemieccy strażnicy nie czynili żadnej różnicy w traktowaniu młodocianych i pozostałych jeńców. Wszystkich obowiązywały takie same zarządzenia oraz surowy regulamin obozowy. Konwencja jeniecka była w drastyczny sposób łamana. Wszystkie okrucieństwa życia obozowego stały się także udziałem małoletnich jeńców AK, zwłaszcza dzieci, które znacznie dotkliwiej niż dorośli odczuwały codzienną udrękę życia za drzwiami w hitlerowskich obozach jenieckich. Młodocianym trudno było przystosować się do uciążliwego życia w niewoli, chociażby z tytułu mniejszej zaradności i doświadczenia życiowego. Wymagali oni jeszcze opieki rodzicielskiej, zwłaszcza ciepła matczynego. Tragiczne warunki bytowe i brutalne traktowanie przez niemieckich strażników, połączony z sobą w okresie powojennym przykre następstwa zdrowotne — fizyczne i psychiczne u dzieci i młodzieży z Powstania Warszawskiego. Ich głęboki patriotyzm oraz wykazywany w tych okropnych warunkach niezwykle hart ducha, a także gehenna jeniecka w niewoli Wehrmachtu, zasługują na rzecz najcenniejszą — trwałą pamięć.

Damian Tomczyk

## „Kondzio”

spodarz podejmował gościa niezawodnym trunkiem. Takż — ntebanalną rozmową.

Tam dopiero, u „Kondzia”, przekonałem się, iż nieprawda jest, jakoby alkohol, w dużych ilościach wypity, otepiał umysł. Zależy tylko, jak się pije i z kim się pije. Ale gdzie dzisiaj znaleźć takich gospodarzy i takich rozmówców?

Długotrwała choroba żony, jej nasilająca się coraz bardziej niedołęność, były dla niedgysiejszego autora buntowniczego „Dytryambu szatańskiego” prawdziwym krzyżem. Lecz gdy nagle Uty za-  
brakło, zrobiło się jeszcze gorzej. W domu przy-

Narutowicza stało się jakoś pusto i jeszcze bardziej chłodno. W kryształowej tafli lustra starej rodzinnej toaletki, przywlezionej przed laty przez rodzinę Bielskich z kresów jako jedyny ocalały mebel ze spalonego domostwa, smutnie odbijał się zawieszony na przeciwległej ścianie portret pięknej Uty, z lat jej młodości.

„Kondzio” coraz bardziej tracił humor. W domu starał się przebywać jak najmniej, chętnie wyjeżdżał do sanatoriów, na zjazdy lub wielodniowe sympozja literackie.

Pewnego czerwcowego dnia 1970 r. siedziałem rado samotnie w redakcji i pisałem reportaż o starej znajomości spod Józefowa Biłgorajskiego, odważnej kobiecie, która w latach pierwszej wojny światowej była frontową sanitariuszką w rosyjskiej armii, a w czasie drugiej wojny kurowała polskich partyzantów w Puszczy Soląskiej. Nagle za-

dzwonił telefon i Leszek Gzella z „Kurieru Lubelskiego” powiedział, że „Kondzio” nie żyje.

Byli razem poprzedniego wieczora na zebraniu bibliofilów w domu dr. Stefana Wojciechowskiego na Czechowie, zjedli tam dobry obiad, porozmawiali o książkach, wypili trochę koniaku. „Kondzio” czuł się znakomicie. Jakby odzyskał dawną radość życia.

Potem wrócili razem z Leszkiem. Kiedy wysiedli z taksówki i podeszli do bramy domu, „Kondzio” nagle przewrócił się przy progu i już więcej nie odzyskał przytomności.

Nie był stary. Liczył dopiero sześćdziesiąt osiem lat i mógł żyć jeszcze długo. Ale już nie miał po co żyć. I nie miał dokąd wracać.

Mirosław Derecki

# BRUCE LEE: prawda i legenda

- 4 -

## ZORRO

Michał Rey



Chiński Zorro...

Reprodukcja: Jacek Mirosław

Nasz serial, w miarę rozwoju, cieszy się rosnącą popularnością. Świadczy o tym m.in. listy, jakie otrzymuje redakcja. Niestety, nie będziemy na nie oddzielnie odpowiadać, bo wszystko, co na temat Bruce'a Lee ma do powiedzenia autor cyklu, znajdziecie w „Kamieniu”. Nie będziemy też rozstrzygać zakładów (ile miał wzrostu? ile ważył? ile miał dzieci? ile zarobił? itd.). Nie jest nam nie wiadomo o planach zakupów filmowych Centrali Zakupów obrazów z „Małym Smokiem”. Należy raczej wykluczyć możliwość oglądania u nas „Wściekłych pięści” („Fist of Fury”) — co zastyszał w Warszawie Andrzej Czajkowski — ze względu na wyjątkową brutalność tej produkcji. Jeżeli już miałoby dojść do zakupu, to najpewniej „Drogi Smoka” („The Way of Dragon”), ale to też hipoteza, bo wiadomo, jak jest z dewizami.

Prosimy także o nieprzysyłanie wycinanych z gazet zdjęć Bruce'a, bo po prostu nie są nam one potrzebne. Zamieszczenie zdjęcia żony, Lindy Emery-Lee, jest możliwe i zrobimy to w jednym z następnych odcinków. Zdjęciami synów nie dysponujemy.

Nie wiemy też, co zrobić z propozycją (Stefana Barzeleckiego i Darka Oleslaka) otwarcie w Lublinie (klubu Bruce'a Lee. Przy redakcji nie ma takiej możliwości. Jeżeli znajdują się chętni w Lublinie, czy gdziekolwiek indziej do organizowania takiego klubu, możemy służyć pomocą propagandową (podanie adresu w naszym piśmie).

Przypominamy, na koniec, że konkurs „Dlaczego Bruce Lee?” trwa (nagrody 3x1000 zł i 3x500 zł) i powoła do chwili opublikowania ostatniego odcinka cyklu.

**P**OPRZEDNI odcinek poświęcony był JEET KUNE DO, czyli sztuce walki autorstwa Bruce'a Lee. Dziś — o karierze filmowej „Małego Smoka”.

Od kiedy Bruce myślał o Hollywood? Trudno powiedzieć. Byłoby co najmniej ryzykowne twierdzić, że jechał do USA z zamiarem wybitcia się w filmie. Znajomi i przyjaciele twierdzą jednak, że gra aktorska fascynowała go od dziecka. Wu Ngang, jeden z długoletnich znajomych rodziny Lee wspomina, że już jako chłopiec Bruce z wielką fascynacją oglądał swego ojca w przedstawieniach opery kantońskiej. Przypomnijmy również, że jako sześciolatek Bruce zagrał w swoim pierwszym filmie. Pochodzenie „aktorskie” i wczesne doświadczenia z biznesem i światem filmu musiały wywrzeć silny wpływ na przyszłość naszego bohatera.

Po wylądowaniu na kontynencie amerykańskim Bruce raczej nie wiązał specjalnych i nadmiernych nadziei z aktorstwem. Skoncentrował się na prowadzeniu szkolenia Kung-fu i JKD. Rosnąca popularność stylu, którego nauczał, wdział osobisty, uroda sprawiły, że „Bruce Lee's Kung-Fu Institute” zaczęły interesować się ludzie z tzw. pozycją. Mimo że lekcje kosztowały słono, bo aż 50 dolarów za jedną, chętnych nie brakowało. Bywali tu m.in. Steve McQuinn, James Coburn, George Lazenby (jeden z kolejnych odtwórców Jamesa Bonda), John Saxon (późniejszy partner Bruce'a w filmach), Chuck Norris (aktor, praktyk wschodnich sztuk walki, partner filmowy „Małego Smoka”), Carlo Ponti (producent filmowy, mąż Sophii Loren), Kareem Abdul Jabbar (znakomity koszykarz zawodowy, później partner filmowy naszego bohatera). Był podobno kilka razy nawet sam Elvis Presley. Przechodziły postacie telewizji, interesu, bogata młodzież, osoby zajmujące się polityką. Oczywiście można dyskutować, czy bywanie na lekcjach u Bruce'a płynęło z nagłej miłości do walki Wschodu, czy było spowodowane swoistym szpanem, modą, chęcią pokazania się. Wydaje się, że Chińczyk tra-

fił także ze swoją szkołą w typowo amerykański kult i tęsknotę za sprawnością fizyczną (są tożsaka kariera joggingu, aerobiku i innych form rekreacji).

Dzięki swojemu „Instytutowi” Bruce nawiązywał liczące się i bardzo potrzebne kontakty. Przewidywaliśmy one do tego, że wystąpił w telewizji w Los Angeles w 1963 roku, prezentując swoje umiejętności i dyskutując o sztukach walki. Pokazano także urywki jego filmu „Orphan Ah Sam” (kopia zapewne w celach reklamowych Bruce zabrał ze sobą do Ameryki, kiedy opuszczał Hongkong). Występ ten przysporzył mu oczywiście nowych zwolenników. Miał też i taką konsekwencję, że Bruce zaczął otrzymywać propozycje udziału w filmach. Jeszcze nie w rolach głównych, ale jako kaskader, aranżer scen walk. Od czasu do czasu zagrał jakiś epizod. Producenci nie przecuwali wówczas, jaka gratka przechodzi im koło nosa; przekonali się dopiero, kiedy Lee był już sławny, a zwłaszcza... po jego śmierci.

Jako znamienity przykład można przytoczyć w tym miejscu film „Marlow” z Jamesem Garnerem, poświęcony — jak już tytuł wskazuje — postaci prywatnego detektywa z książki Raymond Chandlera, gwiazdy amerykańskiego „kryminału”. Bruce Lee w obrazie tym jest na ekranie w sumie przez 5 i pół minuty. Film z całą pewnością nie jest dziełem kinematografii zapierającym dech w piersi. Kiedy jednak umarł Bruce, waliły na film tłumy jego miłośników. Po to tylko, żeby zobaczyć bożyszcze i często wyjść z kina przed zakończeniem projekcji. Marny film odniósł znaczący sukces kasowy. Podobnych zresztą przykładów było więcej. Wygrzebywano po śmierci „Małego Smoka” wszystko, w czym się pokazał, reklamowano i dobrze sprzedawano. Po prostu biznes.

W 1964 roku Bruce Lee otrzymał propozycję poważniejszą. Norman Foster postanowił nakręcić telewizyjny serial gangsterski, w którym jedną z ważniejszych postaci miałby być kierowca Kato, z pochodzenia Chińczyk, który oprócz jeżdżenia samochodem zaprowadzałby — w określony sposób

— pewien ład społeczny. Kato miał być takim współczesnym Zorro. Wleje brzydkiemu gangsterowi. Zabierze złemu, odda dobremu. Itd. Chińczyk oczywiście przyjął propozycję.

Serial „Green Hornet” wyświetlany był w telewizji w latach 1965—67. Sukcesu nie odniósł mimo ogromnego zaangażowania Bruce'a w realizację. Scenariusz raził schematyzmem i naiwnością. To, co miało być poważne, wychodziło śmiesznie. Kato nie zyskał sobie rzeszy wielbicieli i miłośników. Pierwszy poważny kontakt z filmem amerykańskim nie był dla Bruce'a udany i przyniósł mu rozczarowanie. Ale i pewną naukę. Okazało się, że chińskie Kung-fu, aby zabłysnąć pełnym blaskiem, potrzebuje specjalnej oprawy, scenarii, egzotycznych, wschodnich realiów. Nie da się go wrzucić w amerykańskie realia i automatycznie zasymilować. W pragmatycznym świecie amerykańskim pragmatyczni gangsterzy używają łatwych w obsłudze spłuw „Smith-Weston”, podobnie zresztą, jak i pragmatyczni policjanci. Czasami jedni leją drugich w mordę, ale stanowią to raczej margines ich wymiany poglądów, bo broń po prostu jest efektywniejsza i efektywniejsza. W każdym razie w filmie. Gdzie tu miejsce dla Chińczyka, który, aby pokazać klasę, musi mieć odpowiednie „warunki”. Miejsce na efektowny skok z uderzeniem. Czas na wykonanie serii uników, zasłon, ciosów. Porządny amerykański gangster dałby się na to nabrać raz. Potem po prostu zastosowałby w walce ze straszliwymi pięściami Chińczyka otów. Z tych zapewne powodów serial „Zielony Szezeń” nie otrzymał Oscara, a telewizyjnie nie odchodził od zmysłów, kiedy w trakcie emisji na ekranie pojawiała się reklama „Marlboro” lub zupy w proszku „Knorr”.

Takim sposobem pierwszy romans z filmem amerykańskim nie zawiódł Bruce'a do Hollywood, ale jednak po pewnym czasie zaprezentował. W połowie 1968 roku zjawiał się u naszego bohatera Raymond Chow, przysłany z Hongkongu przez potentatów filmowego interesu bracia Show. Żeby uświadomić sobie dobrze, kim są bracia Show, trzeba powiedzieć, że koncentrują w swoim ręku całą niemal produkcję filmową „Pachnącej Wyspy”, posiadają potężną sieć własnych kin (także w innych krajach Azji Wschodniej), własną wytwórnię i miasteczko filmowe, własnych aktorów, reżyserów, scenarzystów. Zatrudniają kilkanaście tysięcy ludzi. Są posiadaczami kilkusetmilionowej fortuny. Ich wpływy są trudne do oceny.

Raymond Chow przyjechał do USA z bardzo konkretnym zamiarem ściągnięcia Bruce'a do kraju rodzinnego. Nie przez sentyment bynajmniej. Dla biznesu. Bracia Show doszli do wniosku, że umiejętności młodego Chińczyka marnują się w Ameryce i że można je wykorzystać znacznie bardziej sensownie. Emisariusz namawiał Bruce'a przez tydzień. Uzgodnili, że odpowiedź nadejdzie w ciągu miesiąca. Dokładnie trzydziestego dnia bracia Show otrzymali telegram o następującej treści: „YES. BRUCE LEE”.

(ciąg dalszy nastąpi)

Ekran  
i widz

**J**AK zdołałem zaobserwować, niezbyt wielu miłośników kina decyduje się na obejrzenie najnowszego filmu Janusza Majewskiego „Słona róża”, czemu ja się — nawlasem mówiąc — wcale nie dziwię. Ale właśnie dlatego warto poświęcić mu chwilę uwagi. Jak to się bowiem dzieje, że zdolny reżyser, operujący po mistrzowsku warsztatem filmowym i posiadający wieloletnie doświadczenie w dziedzinie, którą uprawia, tworzy nagłe dzieło niezwykle mierne, zaskakująco wprost nie liczące z jego dotychczasowym dorobkiem artystycznym?

Pewnie: każdy artysta miewa upadki, okresy złej passy, a po wyjątkowej wienie — miesiące jałowości twórczej. Są to jednak wszystko rzeczy z natury „dopustu Bożego”, spadające na pisarza, muzyka, malarza czy reżysera filmowego — niezależnie od jego woli. Okres takiej „niemoocy twórczej” jest niezawinionym nieszczęściem. Jakby niebezpieczną chorobą, z której trzeba się jak najszybciej, całą siłą woli wydobyc, bo będzie ile... W przypadku „Słonej róży” chodzi chyba jednak, niestety, o coś zupełnie innego.

Oto doskonały temat: historia przypadkowej, krótkiej, młodzieńczej miłości dwójga ludzi — rozgrywająca się w slicznej scenarii Karłowich Warów, na tle zbliżającej się z każdą chwilą napaści Hitlera na Czechosłowację i uaktywnienia się w związku z tym Niemców sudeckich — została na ekranie pogrzebana z kretelem. Dlaczego

tak się stało? Odpowiedzi udziela, pośrednio, sam Majewski w wywiadzie dla redakcji „Filmowego Serwisu Prasowego”:

„Chodziło przecież o to, by zrobić film — powiedzmy — rozrywkowy, z elementami dramatycznymi i komediowymi istniejącymi obok siebie, ale żeby całość tej historii nie była wyrwana ze znaczącego kontekstu historycznego, żeby nad tym wszystkim wisiała autentyczna chmura niebezpieczeństwa, której każdy widź byłby świadom. (...) W założeniach mieliśmy zrobienie melodramatu, a nie filmowego dramatu. (...) Happy end był już z góry wpisany w fabułę. Musiało to być trochę łzawe, trochę sentimentalne. Zależało mi również, by wprowadzić do tej historii szczypte „oni”, która dałaby niezbędny dystans w śledzeniu losów naszych bohaterów”.

Innymi słowy — chodziło reżyserowi o zrobienie takiego filmu, w którym, jak w worku, pomieszczył się wszystko: historia i miłość, miłość i seks, seks i polityka, dramat i melodramat, śmiech i łzy. A ponadto: problem rasizmu (bohaterka filmu, młoda wybitna skrzypaczka jest Czechką pochodzenia żydowskiego), problem walki o polityczną i społeczną sprawiedliwość (bohater filmu jest byłym żołnierzem międzynarodowych brzdęk walczących w Hiszpanii), problem braterstwa narodów (tenże bohater jest Polakiem narwanym przez towarzyszy-komunistów na terenie Czechosłowacji itd.). Iż jeżeli testuje doda się do tego miżawie z pobytu bohatera w hitlerowskim obozie koncentracyjnym podczas II wojny światowej, a rzecz całą

zwięźczy happy endem — jak to dawni kochankowie rzucają się sobie po wojnie w objęcia (choć ona jest teraz żoną amerykańskiego oficera stojącego, to się rozumie, na straży kapitalizmu, a on — należy się domyślać — pozostał wierny międzynarodowemu idealizmowi), zaś u ich stóp igra niewinne pachole, owoc przedwojennych szalonych nocy, to... To już naprawdę zbyt wiele, jak na siły utrudzonego recenzenta filmowego, który wszak z niejednego filmowego pieca chleb jadł i niewiele już rzeczy może go na ekranie zadziwić!

„Słona róża” powstała jako wynik kooperacji polsko-czechosłowackiej i to na pewno stwarzała dodatkowe problemy dla reżysera, bo chodził w takim wypadku m.in. o „zgrzywanie” różnorodnych aktorów, scenarzystów, operatorów, scenografów. Różne są często także, w podobnych sytuacjach, sposoby patrzenia — nie tylko przez samych twórców, ale również przez producentów — na istotę dzieła filmowego. Język, jakim się przemawia do widza, czy też sposób wyartykułowywania pewnych prawd. Zachodzi wówczas obawa, że twórca filmu zdecydował się postępować tak, aby wszyscy wokół niego byli zadowoleni: potrafił „zadany mu” temat jako rodzaj niezbyt zobowiązującego — względem prawdziwej sztuki — „wypracowania”.

Niestety, publiczność bardzo często za tego rodzaju produkty stawia „trójcę na sztach”.

WYPRACOWANIE  
NA ZADANY  
TEMAT

kamena 10

M. D.

# Festiwalowy klops

Istvan Grabowski

NIE pojechałem w tym roku do Opolu i postąpiłem, jak się później okazało, słusznie. Przeszły mi wprawdzie koło nosa okazje wysłuchania recitali 20 popularnych wykonawców (w większości prominentów krajowej sceny rockowej) oraz napicia się szampana z zaprzyjaźnionymi laureatami, ale główne „teatrum” jubileuszowej, dwudziestej z kolei imprezy było wyjątkowo kiczowate, śmiertelnie nudne i bezbarwne w treści. Dawno i chyba bezpowrotnie minęły czasy, kiedy festiwal opolski określano najciekawszą, najbardziej udaną imprezą kulturalną w kraju. Zmieniły się relacje, brakuje inwencji i dawnej spontaniczności. Dziś nie startują tam już talenty na miarę Ewy Demarczyk, Ireny Santor, Czesława Niemena czy Kory. Festiwal jest natomiast okazją do pokazania się piątej ligi wykonawców w piosenkach drażniących natrętną tandetą. Przykre to, lecz prawdziwe.

Nie zawiedli co prawda „dostojni jubilaści”, występujący w inauguracyjnym koncercie „30 lat minęło”, ale ich reminiscencje okrzykniętych niegdyś szlagierów (duże brawa dla wciąż modnej i aktywnej Maryli Rodowicz) nie wnosili niczego nowego do krajobrazu polskiej rozrywki. Ba, uświadomiliśmy jeszcze kontrast między solidnym rzemiosłem estradowym „starych wyjadaczy”, a tym, czym raczyła nas telewizja w następnym dniu. Z dwudziestu czterech wykonawców, startujących w punktowanym koncercie „Premier”, trudno było wybrać choćby jednego wyróżniającego się oryginalną barwą głosu oraz melodyjną, rzetelnie wykonaną i prawdziwie przebojową piosenką. Mówiąc bez ogródek, z estrady wiało nudą. Nie zachwyciły renomowane gwiazdy: Stanisław Węglarz, Grażyna Łobaszewska, Gayga, Ekodus i Bank Lidia Stanisławska i Anna Chodakowska, mimo niebanalnej interpretacji, traciły szanse klasycznej muzyki. Natomiast bezzadani debiutanci nie byli w stanie zdobyć się na coś oryginalnego. Powielali niudolnie (jak choćby Iwona Niedzielska, Grażyna Augustek, Anna Scigalska) dawno wyeksploatowane wzorce interpretacyjne, robili pretensjonalne miny i ośmieszające ich gesty. Niezłym w krzywym zwierciadle odbijały się wszystkie złe manery rodzimych „gwiazdorów”. Fatalnie wypadł też festiwalowy debiut lublińnianina Stefana Lipca, popisującego się romansowo-roztańczoną rymotką „Fijałkownika”.

Nie dziwię się przeto werdyktowi jurorów postanawiających nie przyznawać (ze względu na niski poziom) pierwszej nagrody. Dwoma drugimi obdarowano przeciętne, zarówno muzycznie jak i wykonawczo, kompozycje: Andrzeja Rybińskiego „Nie liczę godzin i lat” i zespołu Lombard „Szklana pogoda”. Trzecia nagroda przypadła pomysłowemu (niestety nie w Opolu!) twórcy i wykonawcy Jackowi Skubikowskiemu — „Jedyny hotel w mieście”. Idę o zakład, że żadna z nagrodzonych piosenek nie stanie się powszechnie nuchonym szlagierem, jak niegdyś „Złote kalendarze”, „Trzy-

stego”, „Jesteśmy na wczasach”, „Jadą wozy kolorowe” czy „Jej portret”. Ale też nigdy nie słyszano się w Opolu tyłu kiczowatych koszmarek o niczym. Tegorocznym uczestnikom festiwalu brakowało nie tylko atutów głosowych, ale też polotu, estradowej swobody, temperamentu i gwiazdorskiego szarmu. Kiedy poirytowany ściszałem głos odbiornika, dręczyło mnie natrętne pytanie: kto, u licha, zakwalifikował do konkursu takie miernoty? Czyżby byli to najlepsi z najgorszych?

Trzeci koncert zatytułowany „Promocje” nie był wcale lepszy. Już po pierwszych taktach wyczuwało się, że ci młodzi, podobno najzdolniejsi w kraju laureaci różnych konkursów i przeglądów trafili na festiwalową scenę wskutek fatalnego nieporozumienia. Nie przekonał mnie pozujący na gwiazdę kabaretu Jan Jakub Należyty, obdarowany główną nagrodą im. Karola Musiōła. Pseudoaktorska blaźnada przesłoniła widać jurorom niedostatkі muzyczne „Zawodu clowna”. Za to mile zaskoczyła piosenka „Mister Lennon” w wykonaniu nikomu nie znanego duetu Unifers, czyli Mirosława Breguły i Henryka Czicha (druga nagroda za debiut). Z tych chłopaków może coś być. Długo medytowałem, dlaczego nagrodzono zespoły Pozłom 600 i Zu-Zu, ale pomyłki zdarzają się praktycznie wszędzie. Nie wspominał o nagrodach dziennikarzy (Jonas Kofka za tekst do widowiska „Kompot”), fotoreporterów (Gayga) i operatorów kamer (Małgorzata Ostrowska), bo też nie miały one związku z walorami muzyczno-interpretacyjnymi wykonawców. Rozczarowały mnie recitale Dwa Plus Jeden i Bajmu. Wykonawcy o takiej renomie mogliby zażądać o bardziej staranne wykonanie na prestiżowej imprezie.

Czterodniowy maraton w Opolu przyniósł o wiele więcej rozczarowań, niż emocjonujących wrażeń. Oby więc wnioski wyciągnięte (miejmy nadzieję) z tego fiaska polskiej rozrywki były przejrzyste i wskazywały przy organizacji kolejnych festiwali piosenki i angażowaniu uczestników. Choć, jak znam estradowe życie, o kompromitacji szybko się zapomni i dalej lansować się będzie aktualny, niestety kulturalny, model rozrywki. W końcu każdy festiwal to znakomita grałka dla scenografów, reżyserów, operatorów, kompozytorów, aranżerów, menadżerów i tekściarzy — słowem ludzi nadających ton rodzimej estradzie, kierujących nowe „zjawiska” i czerpiących z rozrywki zupełnie przyzwoite profity. Kiepska kondycja polskiej piosenki, ani utyskiwania prasy nie zmarniwią ich. I tak wyjdą na swoje.

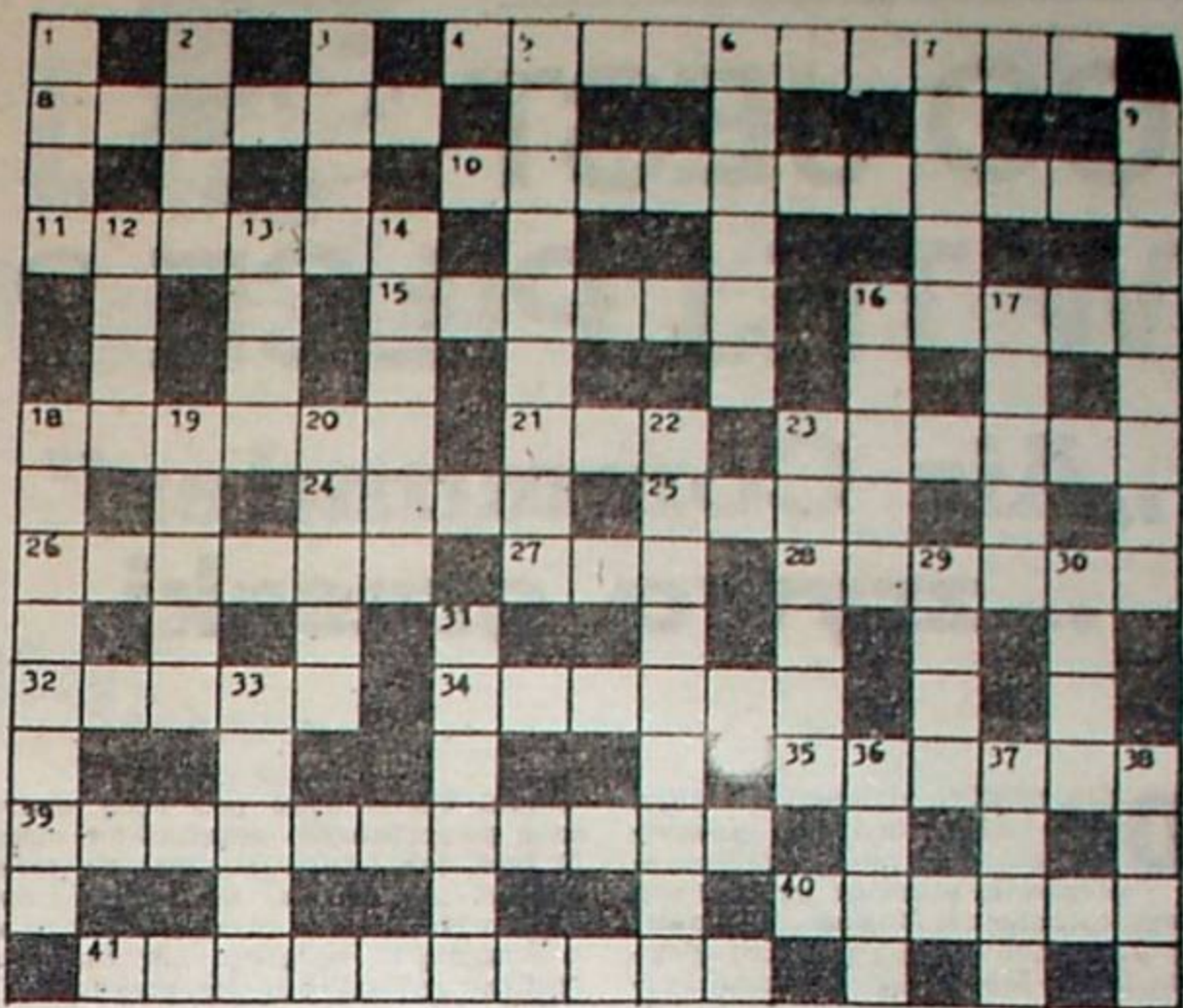
Po wakacjach niech Pan wznowi kontakty z działem literackim naszej redakcji, dostarczy nowe teksty. Zanosz się na debiut w „Kamienie”.

Andrzej P. Lublin. Odczuwa się w Pana liście irytację; nie chce Pan, abym znowu napisał, że z drukarni trzeba zacząć. Co innego mogę jednak Panu obiecać, skoro zaszczyca mnie Pan zaledwie czterema wierszami, które niczego nowego o Panu i Pana piśmiennictwie mi nie dopowiadają. Owe „coś” przebijające przez niektóre z nadesłanych wierszy, to jednak za mało. Nie można pragnąć „wygranej” w „Toto Lotka” przed wypełnieniem i wystaniem kuponu. Nie jednak straconego, z ul. Nowotki do redakcji przeczcie tak blisko.

Krzysztof I. Bilgoraj. Pragnie Pan, aby nadesłane utwory potraktować i ocenić poważnie. Tak czynimy zawsze, nawet wówczas, gdy w odpowiedziach wyczuwalna jest nutka drwiny. Każdemu potrzebne jest inne słowo. Inna rada. Panu także. Z całym szacunkiem odnoszę się do myśli zawartych w przeczytanych wierszach. Nie znajduję tam jednak żadnej wartości literackiej, nie ma w nich nawet odrobiny poezji. Natomiast pragnienia i nadzieje w tym piśmiennictwie niechcie się Panu spełniać.

TJ

## Krzyżówka Nr 19



Poziomo: 4. pianista i premier Polski, 8. pisarka norweska, autorka „Krystyny córki Lawransa”, 10. podróżnik i pisarz polski pierwszej połowy XX wieku, 11. busola, 13. strój głowy zakonniczki, 16. popularna miara odległości, 18. królów polskich, 21. miejsce akcji Jasła i Małgosi, 23. pisarz włoski, autor „Serca”, 24. medykamenty, 25. danie obiadowe, 26. peleng, 27. umiera w „Peer Gyncie”, 28. im większa tym gorzej świadectwo korekty dołączone do książki, 22. trzećcia noga z zagadki Sfinksa, 34. dzieła, 35. kawał waty, 39. dla dzieci w wieku 3-6 lat, 40. niemiecki pisarz i teoretyk teatru, 41. napisał „Marię” i zdobył Mont Blanc.

Pionowo: 1. jednostka wojskowa, 2. kompozytor słynnego baletu „Giselle”, 3. przepłynęła przez Leningrad, 5. część świata, 6. smaczne jabłko, 7. upał, 8. twórczyni popularnego kabaretu telewizyjnego, 12. stolica skandynawska, 13. przewrót, zamach stanu, 14. motocykl na małych kółkach, 16. kąkuty owad, 17. drzewo legów, 18. żona Odysusa, 19. autor „Dżumy”, 20. zastę-

puje wetną, 22. składany cylinder, 23. chęć do jedzenia, 29. wybijają go bęben, 30. państwo nad Zat. Gwinejską, 31. więcej niż jeden człowiek, 33. mieszkaniec Ameryki Łacińskiej pochodzenia europejskiego, 35. stolica Ghany, 37. najcieplejsze pierze, 38. muzyczna litera. Rozwiązania można nadsyłać pod adresem redakcji (skr. poczt. 231 20-950 Lublin) w ciągu 19 dni od daty ukazania się numeru. Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy bon książkowy wartości 500 zł.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI NR 17  
Poziomo: Chateaubriand, salwa, klasa, smardze, nonsens, Busko, Indie, osuwisko, Lezgin, tumult, istota, sandał, lektorat, Opliz, Ramos, Sumatra, kwartał, Manru, Kurek, Przybyszewski.  
Pionowo: Katmandu, Caldwell, arkebus, emaus, Uranos, Renn, skme, diaspora, Swift, Konin, unia, eter, gusta, teleskop, Uska, Słowacki, Tetmajer, dyskurs, Aramis, manie, mysz, tryb.  
Nagrodę otrzymuje Maria Zawisza, 22-200 Włodawa, szpital.



Charlie Chaplinowi zdarzyło się w wieku chłopięcym wybrać szybę sklepową. Przerazonny rzucił się do ucieczki, ale właściciel sklepu dogonił go i złapał:

— Czy wiesz, że za szybę trzeba zapłacić?  
— Naturalnie — odparł Chaplin — właśnie biegłem do domu po pieniądze.

— Czy to prawda — zapytano swego czasu Henryka Sienkiewicza — że żonaci mężczyźni żyją dłużej niż kawalerowie?

— Bynajmniej — odparł znakomity pisarz — tak im się tylko wydaje.

Kornel Ujejski siedział raz w ogrodzie przy partii winta. Nudzka się wśród starszych młodzież zwróciła się do poety z prośbą, aby dla rozrywki ułożył szybko wierszyk, w którym uwzględnione będą następujące rymy: Ewa — plewa, Adam — jadam.

Po paru minutach poeta przedstawił uczniakom swoje wypracowanie:

Dziś na obiad będzie plewa,  
do Adama rzekła Ewa.  
Na to z gniewem ryknął Adam:  
Jam nie świnią, plew nie jadam!

Po premierze niezbyt udanej sztuki, która nie zyskała uznania publiczności i recenzentów, autor spotkał słynnego humorystę Leona Wyrwicza.

— Co pan sądzi o mojej sztuce? — spytał.  
— Myślę — odparł Wyrwicz — że chciałby pan, abym to ja był jej autorem.

Wyszperał:  
Ryszard Dunin

Założyciele: Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski.

Redaguje zespół: Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Zygmunt Mańkowski, Maciej Podgórski (sekretarz redakcji) członkowie Kolegium Redakcyjnego oraz Anna Bocian, Mirosław Derecki, Tadeusz Jasiński (kierownik działu literackiego), Ireneusz J. Kamiński (kierownik działu publicystycznego), Henryk Pająk, Waldemar Piasecki, Waldemar Stępień (fotoreporter), Redaktor techniczny — Ewa Dybek, korektor — Barbara Caban.  
Redakcja nie wraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty. W sprawach literackich przyjmuje interesantów kierownik działu w piątek w godz. 14-18.  
Wydawca: Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza RSW „Prasa-Książka-Ruch” Lubelskie Wydawnictwo Prasowe w Lublinie, ul. Jasna 6, tel. 255-32.  
Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PEWN w Lublinie, ul. Unicka 4.  
Adres redakcji: 20-075 Lublin, ul. Skłodowskiej 1/1.  
Telefony: sekretariat, redaktor naczelny 255-93, sekretarz redakcji 215-93, dział publicystyki i literacki 275-33.  
Korespondencje zwykłe prosimy kierować pod adresem 20-950 Lublin, skrytka pocztowa 231, polecone i ekspresowe — pod adresem redakcji.

# CO JEST W TEJ PIŁCE ?



## „Air Commander“ ...zrywa gruszki



Tomaszewski atakowany przez Petersa zażegnuje niebezpieczeństwa, z lewej Jerzy Gorgoń.

**D**ZISIEJSZY odcinek w całości poświęcony będzie wydarzeniu, które — moim zdaniem — stanowiło początek potęgi i siły naszego futbolu narodowego, a usuwana bywa w cień Innego, bardziej spektakularnego. Mówię tu o meczu Polska — Anglia, rozegranym w godzinach 17.30—19.30, 6 czerwca 1973 roku, na Stadionie Śląskim w Chorzowie. Uważam, że postępowanie się tu przedziałem godzinowym jest w pełni uzasadnione, ze względu na zupełną wyjątkowość tego spotkania.

Trochę sta. Po porażce z Walią kibic nie oświadczył meczu sparringowe z Jugosławia i Eire, trener Górski był krytykowany, podobnie zresztą jak i cała drużyna. Uważano dość powszechnie, że przegraliśmy swoją szansę w Cardiff, bowiem kalkulacja „speców” piłkarskich była taka: cztery punkty z Walią i dwa z Anglią powinny dać nam szansę awansu do finałów mistrzostw świata. Liczono przy tym, że Anglikom może zabraknąć jednego punktu straconego na Wembley z Walijskimi. Po porażce na Ninian Park nikt nie wierzył, że to „uciekło” w Cardiff, da się odzyskać w Londynie, przy założeniu zwycięstwa także i w Chorzowie (również uważano: wątpliwe). „Kazio” Górski pod wpływem cichej presji „niespełnionych oczekiwań” postanowił wycofać się po meczu chorzowskim. Lubański „złapał” kontuzję, a Deyna wydzwał się być bez formy. Nie było jasne, jak zagra po kontuzji Gorgoń. Wszystko to do kupy wydawało się stawiać nas na pozycji outsidera eliminacji i „miało się stać zgodnie z tradycją” (mistrzostwa znów bez Polski). W takiej sytuacji zjechałmi 23 maja 1973 roku do górniczego ośrodka wypoczynkowego „ROW-Park” w Kamieniu koło Rybnika...

Dzień wcześniej trenerzy Górski i Gmoch byli w Pradze, gdzie nasi sąsiadzi podejmowali właśnie Anglików. Przywieźli dobre wieści, bowiem po bardzo dobrej grze Czesi wywalczyli remis 1:1, a dla Anglików był on bardzo szczęśliwy. Generalnie „wyspiarze” rozczarowali. Wystąpili oni w składzie: Shilton — Madley, McFarland, Moore, Storey — Bell, Ball, Peters — Channon, Chivers, Clarke, czyli w dość klasycznym ustawieniu. Trzech panów M. w obronie, dwóch panów B. w pomocy i trzech panów C. w ataku. Było to angielskie optimum swego czasu.

Czesi przegrali przez pierwsze 90 minut, potem gra się wyrównała i tak zostało do przerwy. Wynik bezbramkowy był szczęśliwy dla Anglików. W 84 minucie Novak, po kornierze Hagary, strzałem z wolna nie dał szans Shiltonowi i było 1:0. Między 85 a 75 min Kuna, Ptvarnik i Stratil zaprzęśli trzy znakomite okazje. Wydawało się, że taki wynik się już utrzyma, kiedy na 89 sekund przed końcowym gwizdkiem obrońcy nie upilnowali Clarke'a i ten z 11 metrów nie zmarnował swojej szansy. 1:1. Relacjonując nam mecz i analizując ustawienie Anglików, trenerzy podkreślali, że zapewne podobnie zechcą grać w Chorzowie. Bardzo uważnie w obronie, zaś atakować po długich przerzutach spod swojego pola karnego w przód. Zwracali też uwagę na uderową grę stoperów: bardzo dobra McFarlanda i słabsza Moore'a, który przeciwko Czechom po raz 194 włożył reprezentacyjna koszulka.

23 maja w Kamieniu było zaledwie dwunastu piłkarzy: Szeja, Tomaszewski — Szymankowski, Rzeźny, Gorgoń, Kraska — Kasperczak, Deyna, Maszczyk — Banaś, Lato, Gadocha. Włodek Lubański leczył kontuzję w domu, a Bulzacki i Musiał zdawali maturę. Narzekali na zdrowie Cmińkiewicz. Już na miejscu okazało się, że Antka Szymankowskiemu boli prawa noga i jego gra przeciwko Anglikom jest wątpliwa. Dopisywała w zasadzie tylko pogoda (23 stopni w cieniu), warunki (las, woda, cisza i spokój) oraz znakomite jedzenie przygotowane przez panią Lucję Likoszyk. Muzyki chłopcy wygrać, ab by padali, zem was tie karmila).

Zajęcia sprowadzały się do zajęć wytrzymałościowo-kondycyjnych w lesie (do południa) i ćwiczenia techniki na stadionie „Górnik”. Knurow, oddalonego o 8 km (po południu). Do tego rutynowe zabiegi odnowy biologicznej i zajęcia z taktyki.

31 maja przyjechał do Kamienia Leszek Cmińkiewicz i tego samego dnia przy okazji dowiedzieliśmy się, że Włodek już zaczął trenować z Floreńskim w Zabrze i że właśnie się do nas wybiera. Trochę zaczynało się przejaśniać...

Kilka dni później graliśmy sparring z knurowskim „Górnikiem”, wygrywając 6:0 po bramkach Banaśa (dwie), ścigającego na wypadek niedyspozycji Włodka — Domarskiego (dwie), Deyny i Kasperczaka. Dojechali także matu-szyści i nasz dodatkowy Guł. Trener

Górski chciał mieć pod ręką wszystkich potencjalnych uczestników meczu. O tym, jak bardzo pragnął się zabezpieczyć „na wszelki wypadek” świadczą może fakt, iż przemysłowali nawet o ściągnięciu będącego bez formy Ostańskiego (a „a nuz się przyda?”).

Lubański przybył do Kamienia, zdaje się, 3 czerwca, a chłopaki zgotowali mu owocną w przywitaniu. Włodkiem zajął się troskliwie Siekierzyński. Nasz as atutowy rozpoczął też treningi, ale nie tak forsowne jak nasze. Szybko dochodził do dyspozycji.

Mobilizacja była pełna. Nikt się nie objął w ćwiczeniach. Każdy chciał się wykazać sumiennieścią i pracą. Trenerzy musieli niektórych nawet hamować.

Na cztery dni przed meczem trener Górski wymienił pięciu pewnością do gry. Byli to: Tomaszewski, Gorgoń, Musiał, Banaś i Gadocha. Dalej nominacje uzależnione były w dużym stopniu od orczy Deyny i dyspozycji Lubańskiego. Do brak któregoś z nich od razu przewracałby koncepcję gry, ustawienie. Ostatecznie jednak Włodek zapytany, czy może grać, odpowiedział pozytywnie. A Kazio Deyna wykiwał wyraźną wyżkę formy. Pozwoliło to na pełne skompletowanie ataku (Banaś, Lubański, Gadocha) i Warlant pomocy z Deyną, jako rozgrywającym, wyznaczył automatycznie tego partnerów: również legionista Cmińkiewicza i bardzo równo i pewnie grającego Kraskę. Przesunięcie Kraski do pomocy (bo równie dobry był jako wysunięty stoper) od razu „ustawiło” Bulzackiego, jako drugiego, obok Gorgonia, środkowego obrońcę. Musiał być pewny. Pozostawała obsada prawej strony i tu ostatecznie postawiono na Rzeźnego, debiutanta. Takim sposobem kończyły się problemy z ustawieniem drużyny. Czy optymalnym? Nie daj Bóg, żeby niewłaściwym...

Team angielski zjawiał się w Warszawie 4 czerwca i tego samego dnia dotarli na Śląsk. Alf Ramsey na pytania dziennikarzy odpowiadał, że interesują go tylko dwa punkty i że uważa ich zdobywcę za w pełni realne... Również piłkarze angielscy byli optymistami. Złuszczka, grający dobre mecze w lidze Mike Channon, znakomity bombardier, lecz znacznie słabiej radzący sobie w grze destrukcyjnej.

Trener Górski wykazywał — swoim zwyczajem — dużą powściągliwość. Twierdził, że jedyną szansą reprezentacji są dwa punkty, ale że nie będzie to zadanie łatwe.

Obaj trenerzy utrzymywali też składy w tajemnicy i trzeba przyznać, że oba były zaskoczeniem. Jeżeli chodzi o nasz, za niespodzianki uznano Rzeźnego (a nie Gutę) oraz brak Kasperczaka. U Anglików zaskoczyło wybitnie defensywne ustawienie, z pięcioma praktycznie obrońcami (defensor Storey ustawiony jako czwarty pomocnik) i tylko dwoma zawodnikami w przodzie (i to bez Channona?!).

Wychodziliśmy na płytę chorzowskiego stutysięcznika w następujących składach. Polska: Tomaszewski — Rzeźny, Gorgoń, Bulzacki, Musiał — Cmińkiewicz, Deyna, Kraska — Banaś, Lubański, Gadocha. Anglia: Shilton — Madley, Moore, McFarland, Hughes — Bell, Ball, Storey, Peters — Clarke, Chivers. Sędzią był znany arbiter austriacki, p. Paul Schiller. Pogoda znakomita. Na widowni komplet kibiców. Nasze pojawienie się w tunelu powitał niesamowity doping, który trwał już do końca spotkania.

Nim skoncentrujemy się na meczu, kilka słów o wrażeniu, jakie zrobił na mnie Stadion Śląski. Przede wszystkim był to mój pierwszy występ na tym obiekcie w meczu międzypaństwowym i o taką stawkę. Od bardziej ogranych kolegów z reprezentacji słyszałem wcześniej, że atmosfera tego stadionu jest niepowtarzalna. Jego konstrukcja ma kształt „kotła” i to powoduje, że doping jest jakby zwielokrotniany. Niektórzy twierdzili wręcz,

że na tym stadionie jest swoisty mikroklima, powodujący, że nie nawykli do niego zawodnicy (przeważnie przeciwnicy) czują się tu źle, oddychają się ciężko. Wychodziłem więc bardzo ciekaw, jak to będzie.

Pierwszym wrażeniem było ogłuszenie. Idąc mówiliem coś do Jurka Gorgonia, ale ten mnie nie słyszał i wrzasnął mi w ucho, żebym mówił głośnie. Widziałem też, że Anglicy są zaszokowani, bo kręśli głowami i niedowierzaniem. Popatrzyłem do góry i przekonałem się, że faktycznie stoję na dnle „kotła”. Nade mną pierzły się rządy ludzi machających flagami skandujących, śpiewających krzyżacych. Na trybunie dostrzegłem wielki transparent: „Łódzki kibic w głos się śmieje, kiedy Polska Anglie jeje”. Zrobiło mi się trochę żalnej. Zawsze to swój tożsamość.

Orkiestra zagrała hymny. Przy angielskim było jeszcze cicho, ale kiedy wraz z pierwszymi taktami „Mazurka Dąbrow kiego” huknęło nagłe „Jeszcze Polska nie zginęła, kiedy my żyjemy” poczułem tzy w oczach i odruchowo spojrziałem na naszego kapitana Włodka Lubańskiego. Dałbym sobie głowę uciąć, że też miał „mokre” oczy.

Ruszyliśmy do przodu od pierwszego gwizdka i przekonaliśmy się, iż przeciwnik nie będzie się patyczkował. Anglicy wchodzili bardzo ostro. Padali kolejno Cmińkiewicz i Banaś. Potem, w 5 minucie Lubański, w odległości 25 metrów od bramki Shiltona Wolny w wykonaniu Gadochy nie przyniósł powodzenia. W dwie minuty później znów Włodek padł „przejechał” przez Madley'a i do strzału znów sposobił się „Pilat”. Miał do bramki około dwudziestu metrów przy ostrym kącie. Wydawało się, że musi centrować i tu stała się rzecz nieprawdopodobna. Robert potężnie podkręcił piłkę. Obrona angielska jakby się trochę zahalała. Ruszyli do piłki i Shilton, i Moore, i Banaś. Trudno dziś powiedzieć, który z nich dotknął ją po drodze. W każdym razie wpadła do bramki tuż przy spojeniu słupka z poprzeczką. Gadocha wyskoczył w powietrze z podniesionymi rękami. Również Banaś w triumfalnym geście biegł przez boisko. Sędzia wskazał na środek. Anglicy byli zaszokowani. W siódmej minucie meczu przegrywali 1:0.

Jak się można było spodziewać, chłopcy Ramsey'a ruszyli teraz do ataku. W 9 minucie bronie strzał Petersa z siedmiu metrów. Następnie dwa razy bez powodzenia próbują mnie zaskoczyć Ball i Hughes. Dwukrotnie wychodzę do długich dośrodkowań Storey'a i Hughesa i mam z nimi niejaki kłopoty. Na szczęście są koledzy.

Bardzo dobrze gra druga linia starając się neutralizować angielskie ataki już w środku pola. Udaje się to niezłe. O dziwo, Anglicy nie stosują swoich typowych dalekich wrzutów na pole karne. Ostro walczy Leszek Cmińkiewicz, pilnujący Petersa i nie dający mu pograć. Publiczność cały czas dopinguje.

Przerwy przyjmujemy z ulgą. Jest czas, żeby odpocząć. Schodząc do szatni, nie zapominać o zawieszonym na szatni, matym pluszowym misiu, który zostawiony został na płycie przez dwóch kilkunastu chłopców, a którego następnie umocował do słatki kierownik stadionu „Na szczęście”. Trener Górski jest z nas zadowolony, ale przestrzega przed nonszalancją. Nadal mamy gracie — bardzo krótko kryłce Anglików. Włodek i Robert muszą maksymalnie absorbować obrońców; często zmieniając pozycje na boisku. Czy starczy nam sil? Podczas przerwy Włodek zapewnia trenera, że wszystko będzie dobrze. I, strzelimy jeszcze jednego gola. To rozkładuje atmosferę napięcia i koncentracji. Może nawet nadmiernej. Wychodząc zabieram znów awolę maskotkę, Jurek Gorgoń kartuje, że jest do mnie podobna.

Druga część rozpoczyna się od ataku Anglików zatrzymanego przed polem karnym. Potem próbujemy przesunąć się do przodu my Tracimy piłkę. Trafia ona — zgodnie zresztą ze schematem — do Bobby Moore'a. Ten zwykle w takiej sytuacji rozgląda się i podaje

do przodu długim crossem, ale kiedy brak na to czasu podaje do tyłu. W momencie, kiedy piłka wędruje do Moore'a, idzie za nią Włodek Lubański. Obrona gości nie dostrzega tego w porę i podaje w tył Lubański jest o ułamek sekundy szybszy niż piłka. Dopada ją i pędzi teraz w kierunku Shiltona. Za nim biegnie Moore chcący naprawić błąd. W chwili śledy bramkarz angielski rozpoczyna wybieg. Włodek uderza prostym podbiciem. Piłka mija ręce bramkarza, odbija się od słupka i wpada do siatki Bobby Moore bierze je za głowę. Prowadzimy 2:0. Zimny prysznic dla Anglików.

Wszyscy rzucamy się w kierunku Włodka i serdecznie go obcalujemy. Ktoś krzyczy że teraz Anglicy mogą nam naskoczyć. Zaczynamy wierzyć w ostateczny sukces.

W 55 minucie po celnym podaniu Lubański mija na lewej stronie dwóch Anglików. Dobięga McFarland i tnie bez litości. Włodek pada i wije się z bólu. Trzyma się za kolano. Podbiegają chłopcy. Ktoś woła lekarza. Decyzja doktora Siekierzyńskiego jest natychmiastowa: szybko do szpitala Sanitarisze zabierają Lubańskiego do karetki pogotowia. Na boisko wchodzi Domarski. Chłopcy kląją. Teraz się dopiero zacznie.

Faktycznie, nie ma już przeproszenia. Walka o każdy metr jest taka, jakby od tego miało zależeć wszystko. W 78 minucie w starciu z Cmińkiewiczem Allan Bell przewraca się, po czym wstaje szybko i rusza się na Leszka z pięściami. Pomaga mu Peters. Sędzia jest jednak na mejsku. Wydaje czerwony kartkę i pokazuje Bellowi. Stadion trzęsie się od gwizdów.

W tej samej minucie Anglicy biją wolnego z 17 metrów. Wychodzimy z tego szczęśliwie. W 75 minucie w zamieszaniu podbramkowym Peters uderza mnie w twarz i jednocześnie skacze butem na kolano. Sędzia jest odwrócony i nie widzi ewidentnego faulu. Nie mogą wstać z ziemi. Przybiega dr Siekierzyński z Szeją. Doktor od razu dostrzega puchnące kolano i zamraża je. Podchodzi Jurek Gorgoń...

— Co jest „Tomek”?  
— Dostałem korkiem w rzepkę...  
— Wstawaj. Musisz grać dalej — krzyczy.

Ledwo stoję, ale jakoś wytrzymuję. Dziesięć minut za bramką przycupnął Marian Szeja i czeka, żeby w razie czego wchodzić za mnie do bramki.

— Marian, włóż za mnie, bo nie wytrzymaam... — wołam do niego.  
— Kilka minut wytrzymaasz. Idzie ci ekstra...

Gwizdek sędziego Schillera przychodzi w samą porę. Staje się rzecz dziwna, bo zapominam o bólu i pędzę na środek boiska. Już w tunelu przypominam sobie o misiu i wracam po niego.

Chłopcy skaczą ze szczęścia. Publiczka śpiewa „Sto lat”. Anglicy szybko biegną do tunelu.

Ten dzień należał do nas. Nikt nie analizował występu, nie dzielił włosów na czworo. Byliśmy pijani tym sukcesem!

Następnego dnia z prawdziwą radością czytaliśmy czołówki gazet. Pomijając już nasze polskie, bardzo cenne opinie angielskie. Wszystkie one utrzymywały, że wygraliśmy zasłużenie. Ganiły Ramsey'a za zbyt defensywną taktykę i brak Channona. O mnie pisały, że z taką łatwością łapałem górne piłki, jakbym zrywał gruszki z drzewa. Albo nazywały mnie „Air Commanderem” („Powietrznym Dowódcą”). Istotnie, dużo napracowałem się w Chorzowie w... powietrzu.

(cdn.)  
Do druku przygotował:  
Waldemar Piasecki